

1000
117 14



Najpiękniejsze bajki

DLA GRZECZNYCH DZIECI

Zbiór najlepszych i najpiękniejszych bajek
z
kolorowemi ilustracjami.

NAPISAŁA

R. BOŃCZA



WARSZAWA,
Wydawnictwo „Księgarni Popularnej“

—
1910.



J. 549. 439

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001007941199

Odbito w druk. „GRAFIA“, Warszawa, tel. 11-87-52



1. Siedm kruków.

Dewien człowiek miał siedmiu synów a ani jednej córki, pomimo, że jej z całego serca pragnął. Nareszcie żona objawiła mu radosną nowinę, że się znowu spodziewa zostać matką, a gdy ta chwila nadeszła dał im Bóg córeczkę. Radość była niezmierna, ale dziecko było bardzo wątłe i trzeba je było zaraz ochrzcić z wody.

Ojciec wysłał jednego z chłopców po wodę do źródła; za nim pobiegli wszyscy sześciu bracia, a ponieważ każdy chciał być pierwszym przy czerpaniu wody do chrztu, więc popychając się wrzucili dzbanek do studni. Sta-nęli nie wiedząc, co począć i żaden się nie odważył powrócić do domu.

Gdy ich długo nie było widać, ojciec się zniecierpliwił i zawołał: „Ach ci bezbożni chłopcy, pewnie się zabawili i zapomnieli o wodzie, a tu dziecko jest coraz słabsze i może umrzeć bez

chrztu“. Tak się w końcu rozłościł, że zaklął: „Ażeby się te nieponie w kruki zamienili,,. Za ledwie te słowa przebrzmiały, gdy usłyszał szum skrzydeł w powietrzu tuż nad głową, a gdy spojrział w górę, ujrzał fruujących tam i nazad, siedmiu kruków.

Stało się. Rodzice nie mogli już cofnąć zaklęcia, a jakkolwiek ciężko boleli nad stratą siedmiu swoich synów, pocieszali się jak mogli posiadaniem małej córeczki, która odzyskała siły i stawała się z każdym dniem ładniejszą. Przez długi czas dziewczynka nie wiedziała, że miała braciszków, bo rodzice ukrywali starannie tę tajemnicę przed nią. Pewnego jednak dnia usłyszała przypadkowo, jak ludzie rozmawiali z sobą, że dziewczynka jest rzeczywiście bardzo ładną, ale właściwie jest ona mimowolną przyczyną nieszczęścia jej siedmiu braciszków.

Pocziwe dziecko bardzo się tem zasmuciło i poszło do rodziców zapytać się, czy miało braciszków i co się z nimi stało? Wobec tego, ani ojciec, ani matka nie mogli już dłużej taić i opowiedzieli o wszystkim córeczce, nadmienając, że ona temu niewinna, tylko, że takie było zrządzenie Opatrzności.

Dziewczynka od tej pory nie zaznała spokoju i powiedziała sobie, że musi wybawić swoich braci. Pewnego dnia wyszła z domu cichaczem w szeroki świat, ażeby wyszukać swoich siedmiu braci i starać się kosztem, chociażby własnego życia, zdjąć z nich zaklęcie.

Nie zabrała nic, prócz małej obrączki na pamiątkę po rodzicach, bochenek chleba na wypadek, gdyby jej głód zabardzo dokuczył, dzbanuszek z wodą w razie pragnienia i stołeczek od zmęczenia.

Szła wciąż dalej, aż na koniec świata Przyszła do słońca, ale było ono zbyt gorące i strasznie pożerało małe dzieci. Spieszenie odleciała dziewczeczka i doszła do księżyca, ale ten był za zimny i również zły i okrutny, a gdy zauważył dziecko wyrzekł: „Ja czuję w powietrzu mięso ludzkie“. Szybko więc oddaliła się i stąd i szła dalej — do gwiazd. Te przyjęły dziewczynkę chętnie i przyjaźnie i każda usiadła na jej małym stołeczku. Wtem podniosła się gwiazda poranna, i dała jej małą goleń i rzekła. „Gdybyś nie miała tej goleń, tobyś nie mogła otworzyć Góry Szklannej gdzie mieszkają twoi bracia“. Dziewczynka wzięła goleń, zapakowała ją w chusteczkę i znowu poszła dalej, aż doszła do góry Szklannej. Brama była zamknięta, więc dziewczynka chciała wyjąć goleń, lecz gdy rozwinęła chusteczkę ujrziała że była pusta i że zgubiła dar dobrej gwiazdy.

Co teraz miała począć? Chciała ocalić swoich braci i nie miała klucza od góry Szklannej. Dobra siostrzyczka pomyślała chwilę, poczem wzięła nóż, obcięła sobie mały paluszek, wsadziła go do zamku i otworzyła drzwi. Gdy weszła, wybiegł na jej spotkanie mały

karzełek i zapytał: „Czego tu szukasz moje dziecko?

„Szukam moich braci, siedmiu kruków“, odrzekła dziewczynka. Karzełek znowu przemówił: „Panów kruków niema w domu, ale jeśli chcesz czekać dopokąd nie powrócą, to wejdź“. Wkrótce karzełek wniósł potrawy dla kruków na siedmiu talerzykach i w siedmiu kubkach; z każdego talerzyka zjadła siostrzyczka po odrobinie i z każdego kubka upiła po kropelce. Do ostatniego zaś kubka wrzuciła obrączkę, którą zabrała z sobą.

Wtem usłyszała w powietrzu szelest i poczuła powiew, a zaraz na to karzełek wyrzekł. „Teraz przyfrunęli panowie kruki do domu“. Przyfrunęli, chcieli jeść i pić i szukali swoich talerzyków i kubków. Wtem jeden z nich się odezwał: „Kto jadł z mego talerzyka? Kto pił z mojego kubka? To uczyniły ludzkie usta“. Gdy ostatni doszedł do swego talerzyka potoczyła się ku niemu obrączka. Poznał zaraz że to obrączka rodziców, więc uradowany zawołał: „Dałby Bóg, żeby tu była nasza siostrzyczka, wówczas bylibyśmy ocaleni“. Gdy stojąca za drzwiami dziewczynka usłyszała te słowa, weszła do środka, a bracia przybrali natchmiast ludzką postać. Całowali się i ścis-kali i tak pełni radości pospieszyli do domu.

2. Doktor Wszechwiedzący.

Był niegdyś ubogi wieśniak, nazwiskiem Rak. Pewnego dnia pędził on do miasta parę wołów zaprzężonych do woza z drzewem na sprzedanie. Traf zrządził, że drzewo nabył doktor miejscowy; Gdy chłop wszedł po pieniądze, doktor siedział przy obiedzie; chłop stał przez chwilę i podziwiał jak on ładnie je i pije i aż mu serce zabiło na myśl, że i on mógłby być doktorem. Pozostał więc jeszcze jakiś czas, aż wreszcie zapytał doktora, co należy uczynić, ażeby również zostać doktorem. „O, nie łatwiejszego“, odparł doktor, „to się zaraz stanie“.

„Co ja mam zrobić?“ dopytywał wciąż chłop.—„Kup sobie przedewszystkiem książkę ABC, taką z kogutem, następnie weź wóz i twoich dwu osłów i spienięż ich, a za te pieniądze kup sobie ubranie i wszystko, co potrzeba do tego fachu i w końcu każ sobie wymalować szyld ze słowami: „Jestem doktor Wszechwiedzący“, i każ ten szyld zawiesić nad drzwiami twego mieszkania.

Wieśniak zrobił wszystko, co mu doktor kazał. Gdy już przez jakiś czas praktykował, wprawdzie nie wiele, zdarzyło się, że pewnemu bogatemu człowiekowi ukradli dużo pieniędzy. Opowiedziano mu wtedy, że we wsł

mieszka doktor Wszechwiedzący, który wie pewnie i o tem, kto pieniądze ukradł. Więc kazał pan zaprządź do powozu, pojechał na wieś do doktora i zapytał się czy go zastał w domu. „Tak“, odpowiedziano, „jest“. „Niech więc jedzie ze mną i odnajdzie ukradzione pieniądze!“ „Dobrze, ale i moja żona Małgorzata musi także pojechać“.

Pan z chęcią na to się zgodził, kazał obojgu wsiąść do powozu i pojechali wszyscy razem. Gdy przybyli na pański dwór, nakrywano do stołu i czekano tylko na pana. Ten poprosił również doktora do obiadu. „Bardzo chętnie“, odrzekł doktor, „ale i moja żona Małgorzata musi także z nami jeść“. Po chwili zasiedli oboje do stołu.

Gdy pierwszy służący wszedł z półmiskiem potrawy, pachnącej już zdaleka, chłop szturgnął swoją żonę Małgorzatę i rzekł: „Małgorzato, to był pierwszy“, mając na myśli tego, kto wniósł pierwszy półmisek. Służący jednak myślał, że doktor chciał przez to wyrazić: „To jest pierwszy złodziej“, a że nim istotnie był, przeto zatrwożył się okropnie i po wyjściu z pokoju rzekł do swoich kolegów: „Doktor wie o wszystkim, będzie z nami krucho; powiedział, jakobym ja był pierwszym.“

Drugi służący nie chciał wcale wejść, ale w końcu musiał. Gdy tylko się zjawił ze swoim półmiskiem, chłop znowu trącił żonę: „Małgorzato, to jest drugi“. Trzeciemu również

nie poszło lepiej, bo chłop znowu powiedział:
„Małgorzato, oto trzeci“.

Czwarty musiał wnieść zakryty półmisek, a pan rzekł do doktora, żeby pokazał sztukę i żeby zgadł, co się na półmisku znajduje—a były tam raki. Chłop popatrzał na półmisek i nie wiedząc jak sobie radzić zawołał: „Ach, ja biedny Rak!“ Gdy pan to usłyszał wyrzekł uradowany: „No, i o tem wie, więc jestem pewny, że wie również kto ukradł pieniądze“.

Służący się przeraził, spoglądał błagalnie na doktora i chciałby się jaknajprędzej stąd wysunąć. Gdy doktor wyszedł podeszli doń wszyscy czterej i przyznali się do kradzieży; chcieli oni zwrócić wszystkie pieniądze i w dodatku pokazać sumę dla niego, żeby ich tylko nie zdradził. Zaprowadzili go do kryjówki gdzie leżały pieniądze. Doktor powrócił do pokoju, usiadł znowu przy stole i rzekł; „Panie, teraz zajrzę do mojej książki i zobaczę, gdzie się pieniądze znajdują!“

Piąty służący, chcąc usłyszeć, czy czasem doktor czegoś więcej nie powie, schował się w piecu. Doktor Wszechwiedzący otworzył swoje abecadło i przewracał kartki, szukając kogucika; lecz nie mogąc go długo znaleźć zawołał zniecierpliwiony: „jesteś tam przecież, więc i wyjść stamtąd musisz. Siedzący w piecu był pewny, że to o nim mowa, więc wyskoczył trzęsąc się ze strachu i zawołał: „Ten człowiek wie wszystko“.

Doktór Wszechwiedzący wskazał panu gdzie leżą pieniądze, ale nie powiedział, kto je ukradł; otrzymał z obu stron sute wynagrodzenie i stał się sławnym człowiekiem.

3 Braciszek i siostrzyczka.

Braciszek ujął siostrzyczkę za rękę i rzekł: „Od czasu śmierci naszej matki, nie mieliśmy jeszcze ani jednej szczęśliwej godziny. Macocha nas bije codzien, a gdy podchodzimy do niej, odpycha nas nogą. Czerstwe okruchy są naszym pożywieniem; nawet psu pod stołem jest lepiej, bo mu ktoś czasami dobrą kostkę rzuci. Boże, gdyby to nasza matka wiedziała! Pójdź, siostrzyczko powędrujemy w szeroki świat,„

Szli cały dzień przez pola, łąki i kamienie, a gdy deszcz padał siostrzyczka mówiła: — „Pan Bóg i nasze serca wspólnie płaczą!“ Wieczorem przyszli do dużego lasu i byli tak zmęczeni płaczem, głodem i długą drogą, że usiedli pod drzewem i zasnęli.

Gdy się na drugi dzień obudzili, słońce było już wysoko i zaglądało im w oczy. Braciszek pierwszy przemówił: „Siostrzyczko, pić mi się chce; gdybym wiedział, gdzie znaleźć studzienkę poszedłbym się napić; zdaje mi się,

że tu gdzieś szumi woda“. Braciszek pierwszy się podniósł wziął siostrzyczkę za rękę i mieli zamiar poszukać strumyka. Ale macocha ich była złą czarownicą, widziała, jak wyszli z domu i poszła za nimi, szła pokryjomu, jak czarownice chodzą i zaczarowała wszystkie studnie.

Gdy dzieci doszły do strumyka, który skałał wartko po kamykach, braciszek chciał się napić wody. Lecz siostrzyczka usłyszała, jak zaszemrało w strumyku: „Kto się napije mojej wody zamieni się w tygrysa; kto się ze mnie napije zamieni się w tygrysa“.

Więc siostrzyczka zawołała: „Proszę cię braciszku nie pij, bo się staniesz tygrysem i rozerwiesz mnie“. Braciszek, pomimo straszego pragnienia usłuchał i nie napił się z tego strumyka. Gdy podeszli do drugiego, znowu siostrzyczka usłyszała: „Kto ze mnie pije, staje się wilkiem, kto ze mnie pije staje się wilkiem“. Więc siostrzyczka znowu rzekła: „Proszę cię braciszku nie pij, bo się staniesz wilkiem i mnie rozerwiesz“. Braciszek znowu nie pił, a rzekł: „Poczekam, dopokąd nie dojdziemy do najbliższego źródła, ale już wtedy, żebyś mi nie wiem co powiedziała, to się napiję. Pragnienie moje jest za wielkie“. Gdy przyszedli do trzeciego źródła siostrzyczka znowu usłyszała w szepcie strumyka te słowa: „Kto się ze mnie napije zamieni się w sarenkę, kto się ze mnie napije zamieni się w sarenkę“. Znowu siostrzyczka zaczęła prosić braciszka:

„Braciszku, proszę cię nie pij z tego strumyka, bo się zamienisz w sarenkę i uciekniesz odemnie”. Ale żadne prośby nie pomogły i braciszek przyklęknął i napił się tej wody. Zaledwie pierwsze krople wziął do ust, zamienił się w sarenkę.

Biedna siostrzyczka gorzko zapłakała nad losem zakłętego braciszka, a sarenka także się rozbeczała i tak oboje siedzieli obok siebie w ciężkim smutku pogrążeni. Wreszcie dziewczynka się odezwała: „Uspokój się droga sarenko, ja cię nigdy nie opuszczę”. Potem odwiązała złotą podwiązkę i założyła ją na szyję sarence, i splotła mięki sznurek. Na tym prowadziła z sobą zwierzątko i szła dalej, coraz głębiej w las.

A gdy tak szli bardzo długo, przyszli naraz do jakiegoś domku; dziewczynka zajrzała do środka, a widząc, że jest próżny, pomyślała: „Tu możemy pozostać i zamieszkać”. Poszukała miękiego mchu i liści na posłanie dla sarenki; codzień rano wychodziła z domku po korzonki, jagody i orzechy, a dla sarenki przynosiła soczystą trawę, którą jej z ręki zjadała, a potem bawiła się i skakała wesoło.

Wieczorem, gdy się siostrzyczka zmęczyła, kładła główkę na sarenkę i zmówiwszy modlitwę spokojnie zasypiała. O, gdyby jej braciszek miał ludzką postać, jakież by to było wspaniałe życie.

Trwało to już dosyć długi czas, jak tych dwoje dzieci żyło w lesie. Wtem usłyszeli że

król tego kraju urządza w lesie ogromne polowanie. Co chwila przez gęstwinę drzew dochodziły do domku rozlegające się odgłosy rogów myśliwskich, szczekanie psów i wesołe okrzyki i nawoływania myśliwych. Sarenka słyszała to wszystko i aż drżała z chęci zobaczenia tego. „Ach”, rzekła do siostrzyczki, puść mnie do lasu na polowanie, już dłużej wytrzymać nie mogę”, i tak długo prosiła, aż siostrzyczka się dała ubłagać. „Ale mówiła do niej, „pamiętaj powrócić wieczorem nazad, przed dzikimi myśliwymi zamknę drzwi na klucz; żebym zaś ciebie mogła poznać, to zapukaj i powiedz: „Moja siostrzyczko wpuść mnie”, a jeśli tak nie powiesz, to drzwi nie otworzę”.

Po tych słowach wybiegła z domu sarenka i skacząc wesoło pobiegła do lasu. Król i jego strzelcy, spostrzegli śliczne zwierzątko, ale nie mogli je złapać, a gdy już myśleli że go schwytają, sarenka czmychnęła w gęste zarośla i zniknęła. Gdy się ściemniło pobiegła do domku i zapukała: „Moja siostrzyczko, otwórz i wpuść mnie”. Natychmiast drzwi się otwarły, sarenka wbiegła do domku i smacznie zasnęła na miękkim posłaniu. Nazajutrz polowanie znowu się rozpoczęło na nowo, a gdy sarenka znowu posłyszała granie rogu i hop. hop strzelców, nie miała spokoju i rzekła: „Otwórz mi siostrzyczko, ja muszę tam pójść”. Siostrzyczka otworzyła drzwi i rzekła: „Ale wieczorem musisz tu być i twój sygnał powiedzieć”. Gdy król i myśliwi znowu ujrze

śliczną sarenkę ze złotą wstążką na szyi, pędzili za nią wszyscy, ale ponieważ wieczór się zbliżał i wciąż im to się nie udawało przeto jeden z myśliwych ranił ją w nóżkę i biedna, kulejąc uciekła do domu. Wówczas jeden z myśliwych poszedł za nią i widział że doszła do domku w lesie. Wtem usłyszał, jak zawołała: „Wpuść mnie kochanasiostrzyczko” i ujrzał jak się drzwi otworzyły i sarenka za niemi się skryła.

Myśliwy zapamiętał to sobie dobrze i opowiedział o wszystkim królowi. Król odrzekł, że jutro znowu zapolują.

Siostrzyczka przelekła się okropnie, ujrawszy, że jej sarenka raniona. Obmyła jej krew, przyłożyła zioła i rzekła: „Idź na swoje posłanie droga sarenko, żebyś jaknajprędzej wyzdrowiała”.

Rana była powierzchowna, a nazajutrz nawet śladu jej nie było. A gdy wesołe granie rogów znowu do jej uszu doszło, rzekła: „Teraz to cię już napewno zabiją, a ja zostanę sama jedna w lesie, opuszczona przez cały świat; nie, ja cię nie puszcę”.

„Więc umrę z żalu”, odrzekła sarenka, „jak tylko usłyszę granie rogu myśliwskiego, to omało ze skóry nie wyskoczę”! Wobec tego siostrzyczka musiała się zgodzić i z ciężkiem sercem otworzyła drzwi, a sarenka zdrowa i żwawa pobiegła do lasu.

Gdy ją król ujrzał, rzekł do swoich myśliwych: „Gońcie za nią cały dzień, aż do póź-

nej nocy, ale niech jej żaden z was nic złego nie uczyni". Skoro tylko słońce zaszło, rzekł król do strzelca: „A teraz pójdz i pokaż mi domek w lesie”. Gdy tam się znaleźli, król zapukał do drzwi i zawołał: „Kochana siostrzyczko, wpuść mnie”. Natychmiast drzwi się otwały, a przez nie wszedł król i ujrzał przed sobą dziewczynkę tak cudnej urody, jakiej jeszcze nigdy nie widział.

Dziewczynka się strasznie przelękała, ujrawszy, że zamiast sarenki wchodzi do domku jakiś człowiek ze złotą koroną na głowie. Ale król spojrział na dziewczynkę mile, podał jej rękę i wyrzekł: Czy chcesz iść ze mną do mego zamku i zostać moją drogą żoną? „O tak”, odrzekła dziewczynka „ale i moja sarenka musi pójść ze mną, ja jej nie opuszczę”. „Pozostanie ona u ciebie całe życie i na niczem jej zbywać nie będzie” — odrzekł król. Sarenka przybiegła, a siostrzyczka ująwszy ją za złoty sznurek, opuściła domek w lesie.

Król posadził śliczną dziewczynkę na swego konia i zawiózł ją do zamku, gdzie się odbyła uroczystość weselna z całą paradą. Odtąd nasza dziewczynka była królową i żyła przez długi czas bardzo szczęśliwie. Sarenka była przez wszystkich pieszczona i biegała wesołutka po zamkowym ogrodzie,

Zła macocha była przekonana, że siostrzyczkę już dawno dzikie zwierzęta pożarły, a braciszka, sarenkę, myśliwi pewnie dawno zastrzelili. Gdy przeto usłyszała, że byli tak

szczęśliwi i że im się dobrze powiodło, wówczas zazdrość i niechęć tak ją opanowały, że nie dawały jej spokoju i żyła tylko jedną myślą, w jaki by tu sposób pograżyć ich w nieszczęście. Córka jej, brzydka, jak noc, o jednym oku, robiła matce bezustanne wyrzuty: „Ja powinnam była zostać królową, to szczęście mnie się należało“. „Bądź tylko spokojna“, uspakajała ją matka, „jak czas nadejdzie, to ja będę pod ręką“.

Nareszcie nadszedł czas i królowa wydała na świat ładnego chłopczyka, ale król był akurat na polowaniu; stara czarownica skorzystała z tego i przyjęła na siebie postać panny służącej i weszła do pokoju, w którym leżała królowa. „Pójdź pani, rzekła, kąpiel gotowa, to pani dobrze zrobi i doda świeżych sił; prędko nim ostygnie“.

Córka czarownicy była również pod ręką i obie zanosły chorą królowę do pokoju kąpielowego i zamknęły drzwi na klucz. Rozpaliły tam taki ogień piekielny, że się królowa musiała wkrótce udusić.

Gdy się to wszystko stało, wzięła czarownica swoją córkę, włożyła jej czepek na głowę i położyła ją do łóżka królowej. Dała jej również postać i wygląd królowej, tylko oka nie mogła jej dać innego. Ażeby jednak król tego nie zauważył, ułożyła ją na tej stronie, gdzie nie miała oka.

Wieczorem powrócił król i ogromnie się ucieszył, usłyszawszy, że mu się synek uro-

dził i chciał natychmiast podejść do łóżka żony. Lecz stara zawołała: „Trzeba opuścić kotarę, królowa nie może jeszcze spojrzeć w światło i musi mieć spokój“. Król odstąpił, nie wiedząc, że fałszywa królowa leżała za kotarą.

O północy, gdy już wszyscy spali, ujrzała kobieta, czuwająca przy kołysce dziecka, jak pocichu drzwi się otworzyły i weszła do pokoju prawdziwa królowa. Wyjęła dziecko z kołyski, przyłożyła je do łona i nakarmiła. Potem poprawiła mu poduszczykę i włożyła napowrót do łóżeczka, otuliwszy je starannie kołderką. Nie zapomniała również o sarence, podeszła do niej i pogłaskała ją po szyjce. Potem wyszła cichutko; a gdy nazajutrz kobieta pytała się straży, czy nie widzieli kogoś chodzącego w nocy po zamku, odrzekli: „Nie, nie widzieliśmy nikogo“. Tak przychodziła przez wiele nocy, nie mówiąc ani słowa; kobieta widziała ją zawsze, ale nie odważyła się nikomu ani słowa o tem wspomnieć.

Po upływie jakiegoś czasu królowa przemówiła i pewnej nocy zapytała nianki:

„Co porabia moje dziecko? Co porabia sarenka?

Przyjdę jeszcze tylko dwa razy i potem już nigdy“.

Niania nic nie odrzekła, tylko poszła do króla i wszystko mu powiedziała. Król zdumiony zawołał: „O Boże, co to ma znaczyć? Jutro ja sam będę czuwał przy dziecku“. Wieczorem poszedł do pokoju dziecinnego i rze-

czywiście o północy ukazała się znowu królowa i zapytała, jak zwykle:

„Co porabia moje dziecko? Co porabia moja sarenka? Jeszcze tylko jeden raz przyjdę, a nie więcej“. I znowu nakarmiła i upieściła dziecko i zniknęła. Król bał się przemówić do niej, ale następnej nocy znowu czuwał i słyszał, jak królowa weszła i jak i przeszłej nocy zapytała:

„Co porabia moje dziecko? Co porabia moja sarenka?

Przyszłam dziś ostatni raz“.

Król usłyszawszy te słowa, podbiegł do niej i zawołał: „Ty nie możesz być nikiem innym, jeno moją ukochaną małżonką“. A ona odrzekła: „Tak jestem twoją ukochaną żoną“, i w tej chwili otrzymała z bożej łaski świeże siły i rumieńce. Potem opowiedziała królowi o zamachu, jaki na nią wykonały stara czarownica i jej jednooka córka. Król kazał obie oddać pod sąd i wrotce skazano je na śmierć.

Córkę zaprowadzono do lasu, gdzie ją dzikie zwierzęta rozszarpały, a starą czarownicę, ak zwykle się dzieje z czarownicami, spalonoj na stosie. A gdy się jej potworne ciało rozsypało i stało garścią popiołu, wówczas sarenka przybrała znowu ludzką postać. Tak więc siostrzyczka i braciszek żyli szczęśliwie aż do końca życia.

4. Bajka o kraju pasibrzuchów.

Osiłuchajcie, opowiem wam o kraju, do którego nie jeden z was by chciał wywędrować, gdyby wiedział, gdzie on leży i gdyby się nadarzyła okazja dostać na jakiś okręt. Ale cóż, kiedy droga do tego kraju jest za daleka i niewygodna i dla młodych i dla starych, bo w lecie jest tam za gorąco, a w zimie za zimno.

Ten piękny kraj nazywa się „krajem pasibrzuchów“. Domy tam pokryte są grzybkiem z jaj, drzwi i ściany z piernika, a sufity z pieczeni wieprzowej.

Co u nas kosztuje rubla, tam się dostaje za grosz. Około każdego domu stoi parkan pleciony z kiełbasy i sosisek gotowych do jedzenia.

Wszystkie studnie napełnione są małmazją i innymi słodkimi winami, nawet szampańskim i jak podstawić usta pod rynnę, to można pić tyle ile się pragnie. Kto więc chętnie takie wina pija, ten niech spieszy do kraju pasibrzuchów. Na brzozech i wierzbach rosną świeżo upieczone bułki, a pod drzewami płyną mleczne strumienie; spadają w nie bułki i same się moczą dla tych, którzy lubią wdrobione. To dobre dla dzieci i kobiet, dla parobków i dziewcząt. Hola, Katarzyno, hola Janie! Niechcecie wyemigrować tam? Zabierajcie się

w drogę, a nie zapomnijcie wziąć z sobą dużej czerpaczki do mleka.

W kraju pasibrzuchów pływają ryby na powierzchni wód, często już upieczone, lub ugotowane i płyną tuż około brzegu. Jeśli się zdarzy, że ktoś jest za leniwy, prawdziwy pasibrzuch, by po nie sięgnąć, to może zawołać: pst, pst! — a ryby same wyjdą na ląd i wskoczą pocziwemu pasibrzuchowi na rękę, tak, że się nawet schylić nie potrzebuje.

Możecie mi wierzyć, że tam pieczone ptaki w powietrzu fruują, gęsi i indory, gołębie i kapłony, skowronki i kwiczoły; a jeśli komu za ciężko rękę wyciągnąć, to mu same do ust wlatują. Młode prosiaczki bywają tam przepyszne; biegają wokoło upieczone, a każde z nich ma na plecach nóż, ażeby kto ma apetyt, odciął sobie jakiś soczysty kawałek.

Sery rosną w kraju pasibrzuchów, jak kamienie, duże i małe. Nawet kamienie to nadezwane podgardla gołębie, lub małe paszteciki. W zimie, jak deszcz pada, to spada miód słodkimi kroplami; kto chce, może się nalizać do woli; a śnieg to czysty cukier, grad zaś lodowaty zmieszany z rodzenkami, figami i migdałami.

Zamiast kapusty rosną jaja i zbierają je całemi koszami, tak, że sprzedają tysiąc sztuk za grosz. A pieniądze można strząsać z drzew, jak kasztany, każdy może sobie tyle nabrać ile chce.

W kraju tym są olbrzymie lasy; tam

w gęstych zaroślach rosną na drzewach najpiękniejsze rzeczy: spódnice, surduty, płaszcze, spodnie, kaftany wszelkich kolorów czarne, zielone, żółte dla pocztyljonów, niebieskie, lub czerwone, a kto potrzebuje co z tych rzeczy, to może rzucić kamieniem, a spadną same na ziemię. W gajach rosną piękne stroje dla kobiet; z aksamitu, atłasu, gros de Naples, bareżu, madrasu, tafty, nankinu i t. d. Trawa składa się z różnokolorowych wstążek. Jałowiec nosi złote brosze i szpilki, a ziarna to prawdziwe perły. Na drzewach wiszą zegarki i łańcuszki damskie; na krzakach rosną buty i trzewiki, kapelusze męskie i damskie, wszelkiego rodzaju przybrania na głowę ozdobione rajskimi ptakami, kolibrami i biżuterją.

W tym pięknym kraju odbywają się dwa razy do roku jarmarki. Jeżeli ktoś ma starą żonę i już mu się uprzykrzyła, to ją przyprawia na jarmark i zamienia na młodą i piękną i jeszcze dostaje zaliczkę. Stare zaś i brzydkie zabierają do kąpieli, w której je trzymają trzy do czterech dni, a potem, wypuszczają je stamtąd, jako młode siedmnastoletnie dziewczątka.

Ludzie, którzy w innym kraju nie mają szczęścia ani do gry w karty, ani do strzelania, tam strzelają i grają, jak skończeni mistrze.

Dla wszystkich próżniaków, śpiochów, którzy z powodu ich lenistwa gdzieindziej w nędzę popadają kraj ten jest cudowny.

Każda godzina snu przynosi zysku talara, a każde ziewnięcie dwa razy tyle. Kto grając przegrywa, to mu pieniądze same do kieszeni powracają. Pijacy dostają za darmo najlepsze wina, a za każdy łyk osobne wynagrodzenie dla żony i dzieci. Kto potrafi ludzi najlepiej naciągnąć, ten za to talara dostaje. Nikt nic darmo nie robi, a kto najzręczniejsz skłamię, temu za to hojnie płacą.

W innych krajach ludzie kłamią bezustannie i nic za to nie mają, tam wszakże uważają kłamstwo za największą sztukę, dla tego też kłamią tam wszyscy, prokuratorowie i inni sędziowie, koniarze, rzemieślnicy, którzy swoim klientom wiecznie przyrzekają, a nigdy słowa nie dotrzymają.

Kto się tam chce stać uczonym, musi odbyć studia na grubjanina. Takich studentów nie brak i u nas, ale nie cieszą się zbyt wielkiem uznaniem, tam zaś największą czią otaczają ludzi, zajmujących się głupstwami. Kto nic więcej nie umie prócz jeść i pić, tańczyć i grać, tego hrabia mianują. Lecz ten, kogo jednogłośnie uznają za najniezdolniejszego do dobrych uczynków, zostaje obranym na króla tego kraju i ma olbrzymie dochody.

A więc poznaliście zwyczaje i właściwości kraju pasibrzuchów. Kto przeto ma zamiar się tam wybrać i nie zna drogi, niech zapyta ślepego; chociaż i niemowy może się w tym wypadku przydać, bo napewno fałszywej drogi nie wskaże.

5. Historja o Kalifie-bocianie.



Kalif Chasid w Bagdadzie siedział pewnego pięknego popołudnia na wygodnej otomannie; przespał się trochę i ten sen go bardzo pokrzepił.

Palił fajkę z różanego drzewa, popijał od czasu do czasu łykiem wonnej kawy, którą mu niewolnik podał i głaskał brodę, gdy mu smakowało. Krótko mówiąc poznać było, że się Kalifowi dobrze działo na świecie. Zwykle bywał o tej porze bardzo przystępny i miły, to też zawsze go o tym czasie odwiedzał wielki wezyr Manzor. Tego dnia przyszedł również, ale miał minę nie zbyt wesołą — wbrew jego zwyczajowi. Kalif wyjął fajkę z ust i zapylał: „Dla czego masz taką zamysloną i zasmuconą twarz, wielki wezyrze?“

Wielki wezyr skrzyżował ręce na piersi, skłonił się przed swoim panem i odrzekł: „Panie, nie wiem, czy mam smutną minę, ale to wiem, że na dole stoi kramarz, który ma tyle pięknych rzeczy, a mnie gniewa, że nie mam zbywających pieniędzy.“

Kalif, który już oddawna chciał zrobić jakąś przyjemność swojemu wezyrowi, posłał czarnego niewolnika po wędrownego kramarza; po chwili wszedł człowiek mały z ogorzałą twarzą i w połachanem ubraniu. Miał

z sobą skrzynkę z rozmaitemi towarami. Perły i djamenty, bogato okute pistolety, kubki i grzebienie. Kalif i wezyr obejrzeni wszystko szczegółowo i wreszcie władca kupił dla siebie i dla wezyra wspaniałe pistolety, a dla żony wezyra grzebień. Gdy handlarz miał zamiar zamknąć skrzynkę, Kalif spostrzegł małą szufladkę, więc zapytał, czy i tam się mieszczą towary. Kramarz wyciągnął szufladkę i pokazał w niej małą puszkę z ciemnym proszkiem i papier z jakimś dziwnym pismem, którego ani Kalif, ani wezyr odczytać nie mogli. „Otrzymałem niegdyś te dwie rzeczy od pewnego kupca, który je znalazł na ulicy w Mecce“, odrzekł kupiec, „nie mam pojęcia, co one zawierają; mogę je wam za każdą cenę sprzedać, bo istotnie nie wiem, co z temi przedmiotami zrobić“.

Kalif, który chętnie zbierał do swojej biblioteki stare rękopisy, chociaż ich nawet przeczytać nie umiał, kupił papier i puszkę i odprawił kramarza. Ale tym razem Kalif chciał koniecznie wiedzieć, co to pismo zawiera, więc się zapytał wezyra, czy nie zna kogo, ktoby je mógł odcyfrować.

„Najmiłościwszy panie i władco“, odrzekł wezyr, — nad wielkim jeziorem mieszka pewien człowiek nazwiskiem Selim. Uczony, ten zna wszystkie języki, pozwól mu przyjść, może on pozna te tajemnicze znaki. Uczony Selim przybył na zawołanie. „Selimie“, wyrzekł doń Kalif, „Selimie, mówią, że jesteś bardzo

uczony; przyjrzyj się temu pismu, czy je potrafisz przeczytać. Jeśli je przeczytasz, to ci podaruję nowe ubranie odświętne, jeśli zaś nie, to otrzymasz dwanaście policzków i dwadzieścia pięć na podeszwy, dla tego, że cię niezasłużenie nazywano uczonym Selimem.

Selim skłonił się i odrzekł: „Woli twojej, panie, stanie się zadość!“ Długo przyglądał się pismu, potem nagle zawołał:

„To jest pisane po łacinie, o panie, albo szyję dam. „Jeżeli to po łacinie, to powiedz, co tu napisane“.

Selim zaczął tłumaczyć: „Człowieku, który to znajdujesz, błogosław Allaha za jego łaskę. Kto tego proszku z puszką zażyje i powie przytem słowo: „Mutabor“, ten może się zamienić na każde zwierze, jakie sobie wybierze i zrozumie również mowę tych zwierząt. Jeśli zechce napowrót przybrać ludzką postać, to niech się skłoni trzy razy w stronę wschodu i wymówi tamten wyraz.

Ale strzeż się, ażebyś podczas tego przeobrażenia się nie roześmiał, gdyż zniknie słowo zaklęcia z twojej pamięci i pozostaniesz nazawsze zwierzęciem.

Gdy uczony Selim to przeczytał, Kalif niezmiernie się ucieszył. Uczony musiał przysiąc, że nikomu o tej tajemnicy nie wspomni; władca podarował mu wspaniałą suknię i odprawił go. Do wezyra zaś wyrzekł: „Oto rozumiem wspaniałe kupno, Manzor! Jakże się cieszę, że się będę mógł przeistoczyć w zwie-

rze! Przyjdź do mnie jutro rano, pójdziemy razem w pole, powąchamy trochę z puszeki i podsluchamy potem, o czym się mówi w powietrzu i w wodzie, w lesie i w polu“.

.

Zaledwie nazajutrz rano Kalif zjadł śniadanie, gdy się pojawił wielki wezyr, by, jak jego pan rozkazał, towarzyszyć mu podczas spaceru. Kalif włożył do kieszeni puszkę z proszkiem i kazawszy świecie pozostać w pałacu, udał się tylko sam z wezyrem na przechadzkę. Szli z początku przez wielkie ogrody Kalifa, ale na próżno upatrywali coś żywego, by spróbować swej sztuki. Wezyr zaproponował udać się nad staw, gdzie nieraz już widywał rozmaite zwierzęta np. bociany, które przez swój odmienny wygląd, dumną postawę i klekot zawsze zwracały jego uwagę. Gdy przyszedli do stawu, ujrzeli istotnie bociana szukającego żab. Spostreżegli jednocześnie szybującego w oddali drugiego bociana.

„Założyłbym się o moją brodę, najmiłociwszy panie, że te dwa bociany będą z sobą prowadziły bardzo zajmującą rozmowę. A co, gdybyśmy się tak na bociany zamienili?“

„Doskonała myśl!“ odparł Kalif. „Wpierw jednak rozważmy dobrze i zapamiętajmy, w jaki sposób stać się nazad człowiekiem. — Dobrze! Trzeba się trzy razy skłonić w stronę wschodu i wymówić słowo „Mutabor“, a stanę się na powrót Kalifem, a ty wielkim wezyrem. Ale

na litość Boską nie roześmiać się, bo będziemy zgubieni!” Podczas tej rozmowy, drugi bocian przyfrunął już blisko i opuścił się na ziemię. Kalif wyjął szybko puszkę z kieszeni, wziął szczyptę proszku, potem podał ją wezyrowi i obaj zażyli spory niuch i jednocześnie zawołali: Mutador! Wtem poczuli, jak im się nogi kurczą, stają się cienkie i czerwone, piękne pantofle Kalifa i wezyra zamieniają się na nieforemne nogi bocianie, ręce stają się skrzydłami, szyja wystaje z ramion na łokiec długości—broda zniknęła, a ciało pokryły wielkie pióra.

„Masz pan ładny dziób, panie pierwszy ministrze”, wyrzekł po długim zdumieniu Kalif. „Klnę się na brodę Mahometa, że czegoś podobnego w mojem życiu nie widziałem”.

„Dziękuję najpoddaniej”, odparł wielki wezyr, kłaniając się; „ale jeśli mam być szczerym, to wasza miłość wygląda jako bocian jeszcze ładniej, niż jako Kalif. Ale pójdźmy, posłuchamy o czem mówią nasi koledzy i dowiemy się, czy my istotnie rozumiemy po bocianiemu?”

Przez ten czas nadbiegły świeżo bocian czyścił sobie nogi dziobem i dwa nowe bociany usłyszały ku wielkiemu zdumieniu następująca rozmowę: „Dzień dobry pani Długonoga, tak wcześniej już na łące?”

„Pięknie dziękuję, kochany Klekocie! Przyniosłam sobie małe śniadanko. Może pan pozwoli ćwiarteczkę jaszczurki, lub udo żabie?”

„Dziękuję najpokorniej; nie mam dziś wcale apetytu. Przybyłem na łąkę zupełnie w innym

celu. Mam dziś wobec gości mojego ojca popisać się tańcem, więc się muszę trochę wprawić”. Jednocześnie młoda bocianicha kroczyła zabawnie po łące. Kalif i Manzor patrzyli za nią z podziwem, lecz gdy stanęła w malowniczej pozie na jednej nodze i gdy przytem zaczęła wymachiwać skrzydłami, wtedy obaj nie byli w stanie zapanować nad sobą i wybuchnęli głośnym śmiechem. Kalif pierwszy się spostrzegł: „A to był paradny żart”, zawołał, „którego niczem zapłacić nie można. Szkoda, żeśmy te głupie stworzenia odstraszyli naszym śmiechem, możeby nam jeszcze były zaśpiewały”!

Nagle przypomniał sobie wezyr, że śmiech podczas przeistoczenia się był zabroniony. Trwogę swoją wyjawił Kalifowi. „Na Mekkę i Medinę! To byłby głupi żart, gdybym musiał pozostać bocianem! Pomyśl ty, przypomnij sobie to głupie słowo, którego ja wymówić nie mogę”.

Trzeba nam się trzy razy odkłonić na wschód i wymówić: Mu - Mu - Mu”.

Napróżno kłaniali się po trzykroć ku stronie wschodniej, tak, że dziobami prawie ziemi dotykali, lecz o rozpacz! Zaklęte słowo zniknęło z ich pamięci. Nie pomogły wielokrotne kłaniania się, nie pomogły błagalne Mu - Mu wezyra, tak on, jak i Kalif byli i pozostali bocianami

.
Smutnie wędrowali zaczarowani przez pola, nie wiedząc, jak sobie radzić w nieszczęściu.

Nie mogli wydostać się ze skóry bocianiej, do miasta również powrócić i dać się poznać nie mogli, bo ktoby uwierzył bocianowi, że jest Kalifem, a gdyby nawet, to czyżby mieszkańcy Bagdadu chcieli, ażeby bocian nimi rządził.

Taką więc smutną dolę dzielił władca Bagdadu ze swoim pierwszym ministrem. Żywili się roślinami wyłącznie, bo do jaszczurek i żab nie mogli się przyzwyczaić. Jedyłą pociechą w ich nieszczęściu było, że umieli fruwać, więc też często przyfruwali do miasta i siadali na dachy domów i widzieli, co się tam dzieje. — W pierwszych dniach zauważyli tam wielki smutek i niepokój. Gdy jednak mniej więcej na czwarty dzień przyfrunęli do miasta i usiedli na pałacu Kalifa, ujrzeli na ulicach ogromną paradę. Bito w bębny i zewsząd rozlegały się wesołe okrzyki. Tłumy ludzi wyległy na miasto. Wtem na wspaniałym, w złotej uprząży rumaku, ukazał się jakiś człowiek okryty płaszczem haftowanym złotem i drogimi kamieniami. Obok niego świta również bogato przystrojona. Pół Bagdadu pędziło za nimi i wszyscy wołali: „Niech żyje Mizra, niech żyje władca Bagdadu!”

Bociany siedzące na dachu Kalifa patrzyły jeden na drugiego i wreszcie Kalif Chasid rzekł: „Czy pojmujesz teraz dla czego ja jestem czarowany, wielki wezyrze? Ten Mizra jest synem mojego śmiertelnego wroga, potężnego czarownika Kaszmura, który mi w złej godzi-

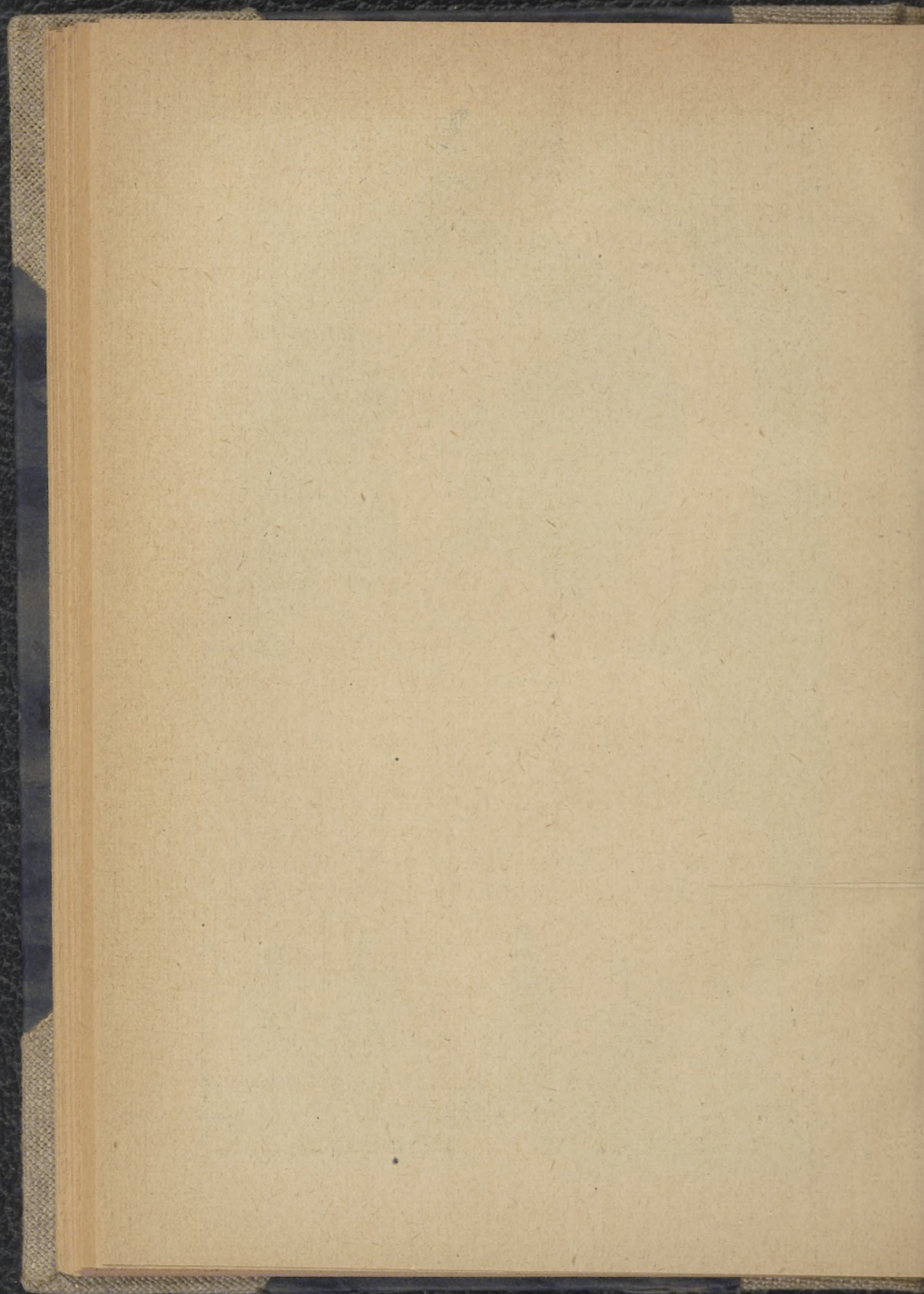
nie zaprzysiągł zemstę. Ale ja jeszcze nie straciłem nadziei i nie daję za wygraną!

Pójdź ze mną, wierny przyjacielu niedoli do grobu Mahometa, może na świętem miejscu urok zaklęcia straci swą moc". Zerwali się z dachu pałacowego i pofrunęli w stronę Medyny.

Z fruwaniami szło im bardzo ciężko, bo nie mieli wprawy. Po kilku godzinach ciężkich trudów, rzekł jęcząc wielki wezyr:

„Dłużej już nie mogę, wasza Wysokość fruwa za prędko! Wieczór się zbliża, czyżbyśmy nie lepiej uczynili, poszukawszy gdzie na noc schronienia". Chasid usłuchał rady swego ministra, a że w dolinie ujrzał jakieś ruiny, mogące służyć za miejsce odpoczynku, więc pofrunęli tam. Miejsce do którego się schronili, było niegdyś zamkiem; poznać było po niektórych nieźle zachowanych pokojach, że tu musiał niegdyś gościć przepych i zbytek. Szli przez długie kurytarze szukając suchego miejsca. Nagle bocian Manzor przystanął. „Panie i władco, jest to głupio ze strony wezyra, a tembardziej bociana bać się duchów, a jednak jest mi tak jakoś nie swojo i zdaje mi się, że slyszalem gdzieś obok jęki i płacz. Kalif przystanął i usłyszał również wyraźnie płacz ludzki. Pelen oczekiwania miał zamiar podejść w stronę, skąd płacz ich dochodził, lecz wezyr porwał go za skrzydło i za dziób i błagał by się nie narażał na świeże niebezpieczeństwo. Kalif, któremu i pod skrzydłami biło szlachetne





i mężne serce wyrwał się ze stratą kilku pysznych piór, pospieszył do ciemnego wejścia i po chwili usłyszał już wyraźnie wydobywające się jęki i szlochanie. Pchnął dziobem drzwi i stanął na progu zdumiony.

W zapadniętym pokoju, do którego światło wdzierało się zaledwie przez małe okrątowane okienko, ujrzał leżącego na ziemi puhacza. Grube łzy spływały mu z wielkich, okrągłych oczu, a z krzywego dzioba wydierały się jęki rozpacz. Gdy sowa ujrzała Kalifa i Wielkiego Wezyra, krzyknęła z radości Zgrabnie obtarła łzy brunatnymi skrzydłami i ku wielkiemu zdumieniu bocianów, przemówiła czystym językiem arabskim: „Witajcie, bociany, jesteście zwiastunami mojego wybawienia, gdyż mi przepowiedziano, że bociany mają być moimi zbawcami.

Gdy się Kalif otrząsał ze zdumienia podszedł bliżej do sowy i wyrzekł: „Puhaczu! Sądząc z twoich słów, to mamy w tobie towarzysza niedoli, ale, ach! Jeśli myślę... że przez nas ratunek do ciebie spieszy, to się mylisz. Sam poznasz naszą bezsilność, gdy usłyszysz naszą historję”. Sowa prosiła bociana o opowiedzenie jej tych szczegółów a ten powtórzył jej wszystko, o czem my wiemy.

.....

Gdy Kalif skończył, sowa podziękowała i rzekła: „Posłuchaj teraz mojej historji, a przekonasz się, że jestem niemniej nieszczęśliwą.

Ojciec mój jest królem indyjskim, ja, jego jedyna nieszczęśliwa córka, nazywam się Luza. Ów czarownik Kasznur, który was zaklął, unieszczęśliwił i mnie. Przyszedł on pewnego razu do mego ojca i prosił go o moją rękę dla swego syna Mizry. Mój ojciec jednak, człowiek porywczy, kazał go zrzucić ze schodów. Nędznik przybrał na siebie inną postać i gdy pewnego razu znalazłam się w moim ogrodzie i chciałam się napić wody, on, przebrany za niewolnika podał mi napój, który mnie przeistoczył w tę obrzydliwą sowę. Nieprzytomną z przerażenia przywlókł mnie tutaj i strasznym głosem krzyknął mi do ucha: „Pozostaniesz tu tak brzydka, że nawet inne zwierzęta gardzić tobą będą, dopokąd ktokolwiek z własnej woli w tej twojej ohydnej postaci nie zechce pojąć cię za żonę. W ten sposób zemszczę się na tobie i na twoim dumnym ojcu”.

Od tego czasu upłynęło wiele miesięcy, samotna i smutna żyję tu w tych murach, odtrącona przez świat, a nawet przez zwierzęta; piękna natura jest dla mnie zamknięta, bo w dzień jestem ślepa, i dopiero, gdy księżyc blade swe promienie rzuci przez to okratowane okienko, spada zasłona polrywająca moje oczy”.

Sowa skończyła swoje opowiadanie i znowu obtarła skrzydłem lzy, napływające jej do oczu.

Kalif podczas opowiadania księżniczki, po-

padł w głęboką zadumę. „Jeżeli się nie mylę“, wyrzekł, „o nasze r'eszczenie ma jedną i tę samą naj-mną przyczynę, ale gdzie znaleźć klucz do rozwiązania tej zagadki“.

„O panie, ja mam przecucie, że się wszyscy wydostaniemy bo mi kiedyś w latach dziecięcych pewna kobieta przepowiedziała, że mi bocian wielkie szczęście przyniesie. Mam pewną myśl: Czarownik, który nas oboje unieszczęśliwił, przyjeżdża tu co miesiąc ze swoimi przyjaciółmi, gdzie w jednej z sal się zabawiają. Już kilka razy ich tam podsłuchałam. Opowiadają oni o potwornych czynach swoich, może się więc zdarzyć, że między innemi wymówią także słowo, mające moc czarowną, a któreście zapomnieli.

„O, kochana księżniczko“, zawołał Kalif. „Kiedy oni przybywają i gdzie jest ta sala?“

Sowa milczała przez chwilę, a potem rzekła: „Nie bierz mi pan za złe, ale mogę to tylko pod jednym warunkiem powiedzieć“. „Powiedz! Powiedz!“ błagał władca Bagdadu. „Rozkazuj, przyjmę każdy warunek“.

„Otóż“, zaczęła sowa, „możemy wszyscy być ocaleni, jeśli jeden z was ofiaruje mi swoją rękę“. Warunek ten zasmucił trochę bocianów i Kalif dał znak wezyrowi, żeby wyszli się naradzić. „Wielki Wezyrze, to jest głupia historia, ale wreszcie mógłbyś ją poślubić“.

„Co?“ zawołał minister, „żeby mi moja żona po powrocie oczy wydrapała? P.zytem jestem starym człowiekiem, a wasza wyso-

kość jesteś młodym i niezonatym i odpowiedniejszym na męża młodej i prawdopodobnie pięknej księżniczki“.

„Otóż to właśnie, kto ci powiedział, że ona jest młoda i piękna?“ westchnął Kalif. „To się nazywa kupić kota w worku!“

Długo jeszcze rozprawiali na ten temat, lecz gdy Kalif widział, że Wielki Wezyr woli raczej pozostać na zawsze bocianem, niż zaślubić sowę, zdecydował się sam spełnić ten warunek. Sowa się bardzo ucieszyła i opuściła wraz z bocianami swój kąć, by ich zaprowadzić do owej sali, gdzie się zbierają ich nieprzyjaciele, a tej nocy właśnie wypadał termin ich przybycia.

Z kącika, gdzie się trójka zaczarowanych umieściła, widać było cały salon. Wiele pięknych różnokolorowych lamp zwieszało się z sufitu, rozlewając jasne światło wokoło. Na środku stał wielki stół, uginający się pod ciężarem mieszczących się na nim półmisków z wyszukanymi potrawami. Wokoło stołu na kanapach siedziało ośmiu ludzi. W jednym z nich poznał Kalif owego czarownika, który mu sprzedał tajemniczy proszek. W tem najbliższy sąsiad czarownika, prosił go, by opowiedział o swoich najświeższych czynach. Pomiedzy przeto innemi opowiedział również historję Kalifa i Wielkiego Wezyra.

„Jakież to słowo było?“ zapytał inny czarownik?

„Prawdziwe łacińskie trudne słowo, —
zmi ono Mutabor“.

Gdy bociany usłyszały to słowo, zdawało im się, że zwarują z radości.

Wybiegły szybko z ruin, tak, że sowa ledwie nadążyć za nimi mogła.

„Zbawczyni nasza“, zwrócił się Kalif do sowy, na znak wdzięczności przyjmij mnie za małżonka. Potem zwrócił się twarzą na wschód. Trzy razy pokłonili się wschodzącemu słońcu i wyrzekli: Mutabor! Po chwili pan i podwładny padli w swoje objęcia. Któż jednak zdoła opisać ich zdumienie, gdy się obejrzel. „Nie poznajecie waszej sowy — puhacza?“ zapytała księżniczka, na której widok Kalif stanął jak wryty. Jej piękność i dumna postawa tak go oczarowały, że dziękował gorąco prorokowi, że zdjął z niego zakłęcie.

Kalif sięgnął do kieszeni, gdzie oprócz puszek z fatalnym proszkiem, znalazł swoją sakiewkę. Kupił przeto w najbliższej wsi rzeczy potrzebne na drogę i podążyli do Bagdadu. Pojawienie się ich tam wzbudziło wielkie zdumienie. Bowiem i Kalifa i Wielkiego Wezyra mieli wszyscy za straconych, radość przeto z odzyskania ukochanego władcy nie miała granic — a nienawiść dla oszukańca Mizry wzrosła do potęgi. Tłum wtargnął do pałacu i aresztował czarownika i jego syna. Starego wysłał Kalif do tych samych ruin, gdzie księż-

niczka, jako sowa przebywała i kazał go tam powiesić, a synowi dał do wyboru, albo umrzeć, albo powąchać szczyptę proszku. Porządna doza proszku i zaczarowane słowo Mutabor zamieniło chwilowego władcę Bagdadu na bociana. Kalif kazał go umieścić w żelaznej klatce i postawić w swoim ogrodzie.

Długo i szczęśliwie żył Kalif ze swoją żoną, księżniczką; a do najprzyjemniejszych chwil zaliczał te, w których go co dzień po południu odwiedzał Wielki Wezyr. Rozmawiano wówczas o przeżytej przygodzie, a gdy Kalif był w świetnym humorze, wówczas naśladował chód bociანი Wezyra i jak ten trzepocąc skrzydłami kłaniał się daremnie słońcu mówiąc Mu-Mu-Mu.

Dla żony Kalifa i jej dzieci stanowiły te przedstawienia największą zabawę, lecz gdy Kalif już za długo się naśmiewał z Wezyra, wówczas ten groził ze śmiechem:

„Ejże, wasza wysokość, bo opowiem waszej małżonce, o czem się przed drzwiami sowy radziło“.

6. Bajka o człowieku na księżycu.



Przed wielu, wielu laty szedł pewnego niedzielnego poranku jakiś człowiek do lasu po drzewo. Gdy już sporo szczap narąbał, związał je, zarzucił na plecy i niósł do domu.

Na drodze spotkał go jakiś piękny człowiek odświętnie ubrany; szedł widocznie do kościoła. Na widok chłopa z drzewem na plecach, przystanął i rzekł do niego: „Czy nie wiesz, że dziś jest niedziela, dzień, w którym sam Pan Bóg odpoczywał, kiedy świat, wszystkie zwierzęta i ludzi stworzył? Czy nie wiesz, że trzecie przykazanie jest: Żebyś dzień święta święcił?“

Pytającym był sam Pan Bóg; ów drwał zaś był zacięty i odrzekł: „Niedziela w niebie, poniedziałek na ziemi, co to mnie, albo ciebie może obchodzić?“

„Musisz za to wiecznie dźwigać twój ciężar!“ rzekł Pan Bóg, „a że tak gardzisz na ziemi niedziela, będziesz więc miał wieczny poniedziałek i będziesz stał na księżycu jako przestroga dla tych, którzy gwałcą dzień święta.“

Od tego czasu stoi na księżycu człowiek z wiązką drzewa na plecach i stać tak pewnie będzie całą wieczność. Przypatrzcie się dobrze działeczki a ujrzycie go tam.

7. Wilk i owieczki.

Byla raz stara owca i miała siedm młodych owieczek i kochała je tak, jak tylko matka może kochać swoje dzieci.

Pewnego dnia musiała pójść do lasu po paszę, zawołała więc owieczki i tak do nich rzekła: „Kochane dziecieczki, wychodzę do lasu, strzeżcie się wilka, gdybyście go wpuścili, zjadłby was ze skórą. Ten nicpoń się często maskuje, ale po grubym głosie i czarnych kopytach zawsze go poznać“.

„Ależ droga mateczko“, odrzekły owieczki „już my się będziemy pilnowały, nie martw się daremnie“, Stara owca zabczała i udała się w drogę.

Nie długo trwało, a tu ktoś puka do drzwi. „Otwórzcie, kochane dziecieczki, wasza matka przysłała i każdemu z was coś przyniosła“. Ale owieczki poznały po grubym głosie wilka i nie otworzyły.

„Nie otworzymy, ty nie jesteś naszą matką, nasza matka ma miły, słodki głos, a twój jest gruby i nieprzyjemny. Wilk poszedł do kupca, kupił kawał kredy i go zjadł, przez co głos mu się zmienił. Potem powrócił i znowu zapukał do owieczek: „Otwórzcie, drogie dziecieczki zawołał, wasza matka powróciła i każdemu z was coś dobrego przyniosła“. Dzieci wyjrzały oknem i odrzekły: „Nie otworzymy ci, oszukańcze, ty nie jesteś naszą matką, jesteś wilkiem, nasza matka niema czarnych nóg“.

Wilk pobiegł do piekarza i rzekł:

Skaleczyłem się w nogę, oblep mi ją ciastem;“ a gdy mu to piekarz uczynił, pobiegł do młynarza i kazał sobie mąki na ciasto nasypać. Młynarz zaraz odgadł, że wilk chce ko-

goś oszukać i wzdragał się, lecz wilk zawołał: „Jeśli nie uczynisz tego natychmiast, to cię pożrę. Naturalnie, przerażony młynarz pobiegł mu łapy. Tak, tacy to są ludzie.

I znowu nicpoń zapukał po raz trzeci do biednych owieczek: „Otwórzcie dzieci, mateczka wasza powróciła i każdemu z was coś dobrego przyniosła“. Nwieczki zawołały: „Pokaż nam wpieryw twoją stopę, chcemy wiedzieć, czyś ty nasza matka“. Więc gdy położył nogę na oknie, dzieci ujrzęły, że jest biała i będąc przekonane, że to ich ukochana mateczka, drzwi otworzyły. Ale kto wszedł — wilk naturalnie. Biedne owieczki strasznie się przelękły i jedna się schowała pod stół, druga pod łóżko, trzecia do pieca, czwarta w kuchni, piąta do szafy, szósta pod miskę od mycia, a siódma w zegar ścienny. Lecz wilk powybierał je i połknął, ale siódmego nie mógł znaleźć. Gdy już apetyt swój zaspokoił, potoczył się ociążały do lasu, położył się pod drzewem i zaczął zasypiać.

Wkrótce nadeszła stara owca i o Boże, czego ona dożyć musiała! Drzwi były otwarte na oścież; stół, krzesła i ławki były przewrócone, miska potrzaskana, kołdry i poduszki wyrzucone z łózek. Szukała dzieci i nigdzie znaleźć ich nie mogła; wołała je wszystkie po imieniu — nadaremnie. Nareszcie gdy doszła do zegara odezwał się ze środka delikatny głosik: „Kochana mateczko, ja tu siedzę w skrzynce“. Uradowana matka wyjęła swoją najmłodszą dziecinę, która jej dopiero opowie-

działa szczegóły pożarcia owieczek. Możecie sobie wyobrazić rozpacz starej owcy.

Wreszcie uspokoiła się i wyszła z domu, a za nią mała owieczka. Gdy przyszła na łąkę, ujrzała wilka leżącego pod drzewem i chrapiącego. Obejrzała go ze wszystkich stron i spostrzegła, że się w nim coś porusza. „Ach, Boże”, pomyślała, „czyżby moje biedne polknięte dzieci jeszcze się nie podusiły?” Mała owieczka pobiegła do domu po nożyczki igłę i nici. Stara owca rozerznęła brzuch wilkowi i wyskoczyły z niej wszystkie sześć owce calusienkie. Toż to była radość, dzieci skakały około matki, całując się bezustannie. Gdy się trochę uspokoiły, wysłała je matka po kamienie, żeby nimi zapchać brzuch obżartucha, potem go tak szybko zeszyła, że się nawet nie obudził.

W końcu wilk się przebudził, a że miał wielkie pragnienie, więc się dźwignął, by pójść do wody, ale kamienie przewalały mu się w brzuchu. Zdumiony zawołał: „Co tak brzęczy w moim brzuchu? Myślałem, że tam są owieczki a to przydrożne kamyczki”. A gdy przyszedł do rzeki i się pochylił, by się napić wody, kamienie przyciągnęły go i wpadł i się utopił. Gdy owieczki to spostrzegły, zaczęły skakać z radości i wołać: „Wilk nie żyje, wilk nie żyje.

Poławiacz szczurów z Hamelu.



oławiacz „szczurów?“ pytasz. „Tak, cóż to jest za człowiek? „Czy poustawiał pułapki na myszy i szczury i powyćpiał je wszystkie?“

„O nie, on to o wiele prościej i dowcipniej urządził, bo w mieście Hamel, o którym wam chcę opowiedzieć, tyle było myszy i szczurów, że nie można się było od nich obronić. Biegały mieszkańcom pod nogami, przegryzały drzwi wszystkich szaf spiżarnianych, zanieczyszczały wszystkie potrawy, chociażby je szczelnie przykrywano.

Ani koty, ani pułapki, nic nie pomagało. Na miejscu kilkunastu zabitych, pojawiały się niezliczone masy.

Gospodynie rozpaczały, a ich mężowie łamali sobie głowy, zbierali się na czele z burmistrzem miasta, by coś uradzić, lecz wszystko nadaremnie—nie mogli znaleźć rady na trapiące ich nieszczęście.

Pewnego razu, gdy się znowu zebrali, usłyszeli jakiś hałas na ulicy. Kilku ciekawych pospieszyło do okna i ujrzało ze zdumieniem, stojącego na ulicy jakiegoś dziwnie wyglądającego człowieka, otoczonego zgrają chłopców ulicznych, do których się przyłączyli również i dorośli.

Nieznajomy miał na sobie strój pajaca, kolorową pelerynę, a na głowie mały kapeluszek z dłu-

giem piórem; u pasa zwieszała mu się torba i błyszczący sztylet.

Wyjął z kieszeni długą fujarkę i dmuchał w nią wesoło. Potem zaczął przyspiewywać:

„Jestem śpiewak znany w świecie,
Przytem łowię myszy, szczury,
I wymiatam je, jak śmiecie
Nawet tam, gdzie grube mury.
Pono w tym sławetnem mieście,
Plagą są zwierzęta te —
Więc przybyłem tu nareszcie,
By wam usługi oddać swe”.

Gdy zebrani usłyszeli tę pieśń, zaczęli się wszyscy wraz z burmistrzem cisnąć do drzwi i okien; każdy pragnął ujrzeć tego szczególnego człowieka.

„Jeśli on prawdę mówi, to warto byłoby zawołać go do nas; chętnie go wynagrodzę, gdy oczyści mój dom od tej plagi”, rzekł burmistrz.

Radcowie miasta zgodzili się na ten projekt i natychmiast wysłano po myszołapa, by przybył do ratusza.

Tam umówiono się z nim o cenę, jeśli oczyści całe miasto, wszystkie domy, małe i duże.

Podczas sporów o wynagrodzenie, — myszołap żądał dwieście talarów, radcowie zaś chcieli mu tylko dać sto. Nagle odwołano burmistrza na stronę; żona jego dała mu znać, żehy za każdą cenę zgodził poławiacza szczurów.

Bowiem chciała upiec na imieniny męża tort kremowy, lecz gdy zaczęła wybierać śmietanę z garnka, znalazła w nim utopionego szczura.

Ponieważ nie można było użyć tej śmietany, więc się musi zadowolić plackiem cybulowym.

„Szkoda tortu kremowego!” zawołał burmistrz, bo to był jego ulubiony przysmak, „tak, trzeba za wszelką cenę zniszczyć raz te myszy i szczury”!

Gdy powrócił do sali ratuszowej, odezwał się decydująco: „Poławiacz szczurów otrzyma żądane dwieście talarów, ale nie odrazu, bo kasa miejska nie posiada teraz tyle pieniędzy; sto talarów dostanie on zaraz jutro, gdy znikną myszy i szczury, drugą zaś setkę odbierze na przyszły rok, gdy się znowu zbierze trochę grosza w kasie”.

„Otóż to”, rzekli mądrzy radcowie, „przez ten rok będzie można się przekonać, czy myszy nie powrócą więcej.

Poławiacz szczurów wrzusał ramionami: lecz w końcu zgodził się. Nazajutrz rano, gdy zegar na ratuszu wydzwonił szóstą, rozległy się na ulicach miasta dźwięczne tony fujarki. To szczurołap przechodził placem i ulicami miasta. I, o dziwo! Gdzie tylko, gwizdząc przechodził, wyskakiwały myszy i szczury, z lochów piwnicznych, z dachów, z okien i drzwi, a było ich tak wiele, że się roiło od nich na ulicach miasteczka.

A całe te chmary dążyły za grajkim, który wyszedł z bram miasta i szedł wciąż przygrzewając na swoim czarodziejskim flecie, aż doszedł do rzeki i bez namysłu wszedł do wody, a za nim myszy i szczury.

Ujrzano ze zdumieniem, jak powoli fale ogarniały zwierzęta i jak w krótkim czasie wszystkie się potopiły.

Gdy nazajutrz pojawił się szczurołap w magistracie, żądając umówionego wynagrodzenia radcowie zaczęli się namyślać. Teraz, gdy się pozbyli, trapiącej ich plagi, żal im było pieniędzy. „Sto talarów za dmuchanie przez godzinę w fujarkę?” szeptał jeden z radców.

„Sto talarów!” wtrącił drugi „i najmniejszych kosztów nie miał, bo trucizny nawet nie użył do wytopienia szczurów“.

Gdy zniecierpliwiony poławiacz szczurów zażądał stanowczo wynagrodzenia i to jaknajprędzej, ponieważ musi się jeszcze udać w dalszą drogę, zabrał głos burmistrz i objaśnił:

„Dobry człowieku, radcowie miasta uznali, że twoja fatyga nie warta tak wielkiego wynagrodzenia i dlatego odmawiają ci wypłacenia pierwszych stu talarów. Za rok możesz przyjść, a jeśli do tej pory myszy i szczury nie powrócą, to dopiero wówczas otrzymasz drugie sto talarów, jako całkowitą należność“

Oburzony szczurołap zawołał: „Czy to wasze ostatnie słowo? Po tak wielkiem dobrodziejstwie, jakie okazałem waszemu miastu mamże odejść bez wynagrodzenia? Czy wam nie wstyd łamać danego mi słowa?”

Ale radcowie wołali: „Co ten człowiek ośmiela się nam ubliżać? Precz z nim, zaprowadzić go do więzienia, bo obraził przemądrą Radę z Hamelu.” Natychmiast podszedł sługa

sądowy i zaprowadził poławiacza szczurów do lochu, zamknął go na łańcuch żelazny, by więzień nie mógł uciec.

Jedną noc przepędził biedny szczurołap bezsennie na twardej ziemi; na drugi dzień, gdy mu dozorca przyniósł chleb i wodę, prosił go, by oznajmił prześwietnej Radzie miasta Hamelu, że zrzeka się wszelkiej zapłaty i żąda jedynie wolności.

krótce otworzono mu drzwi więzienia i był wolny. Bez jednego słowa opuścił miasto. W duszy jednak powiedział sobie: „Idę — ale powrócę tu znowu. Będziecie mnie pamiętać, wy przemądrzali radcowie miasta Hamelu!”

Burmistrz i radcowie najspokojniej pospieszyli do swych domów, by się pochwalić przed swymi żonami, w jak mądry sposób zaoszczędzili kasie miejskiej sto talarów i pomimo to pozbyli się trapiącej mieszkańców plagi — myszy.

Nazajutrz była niedziela, burmistrz i wszyscy mieszkańcy Hamelu udali się wraz z żonami i starszymi synami i córkami do kościoła. W domach pozostały tylko małe dzieci i gdzieś tam jakaś służąca, lub stara babcia

Gdy w kościele rozległ się śpiew, powrócił do miasta poławiacz szczurów, przechodził przez wszystkie ulice i zaułki, gwizdał na swoim czarodziejskim fleciku przyśpiewując przytem:

„Wrócił śpiewak połańbiony,
Zemsty, krwawej zemsty spragniony.
Więc gdy zagra na swym flecie
Jak wczoraj szczury, dziś dzieci wymiecie.

Wrócił szczurołap w gniewie srogi,
Więc zginąć muszą niebogi.
Gdy usłyszycie mego fletu tony,
To — dzieci waszych pogrzebowe dzwony.

Jedne drzwi za drugimi się otwierały i powychodziły z nich dzieci, chłopcy i dziewczynki, żadne nie mogło się oprzeć wesołym dźwiękom czarodziejskiej fujarki, nawet małeństwa, ledwie na nogach się trzymające śpieszyły za innymi. Gdy się nareszcie śpiewak obejrzał, ujrzał ciągnącą za nim rozbawioną gromadkę dzieci. Roześmiał się wesoło i podążył do drugiej bramy; dzieci z okrzykami radości za nim.

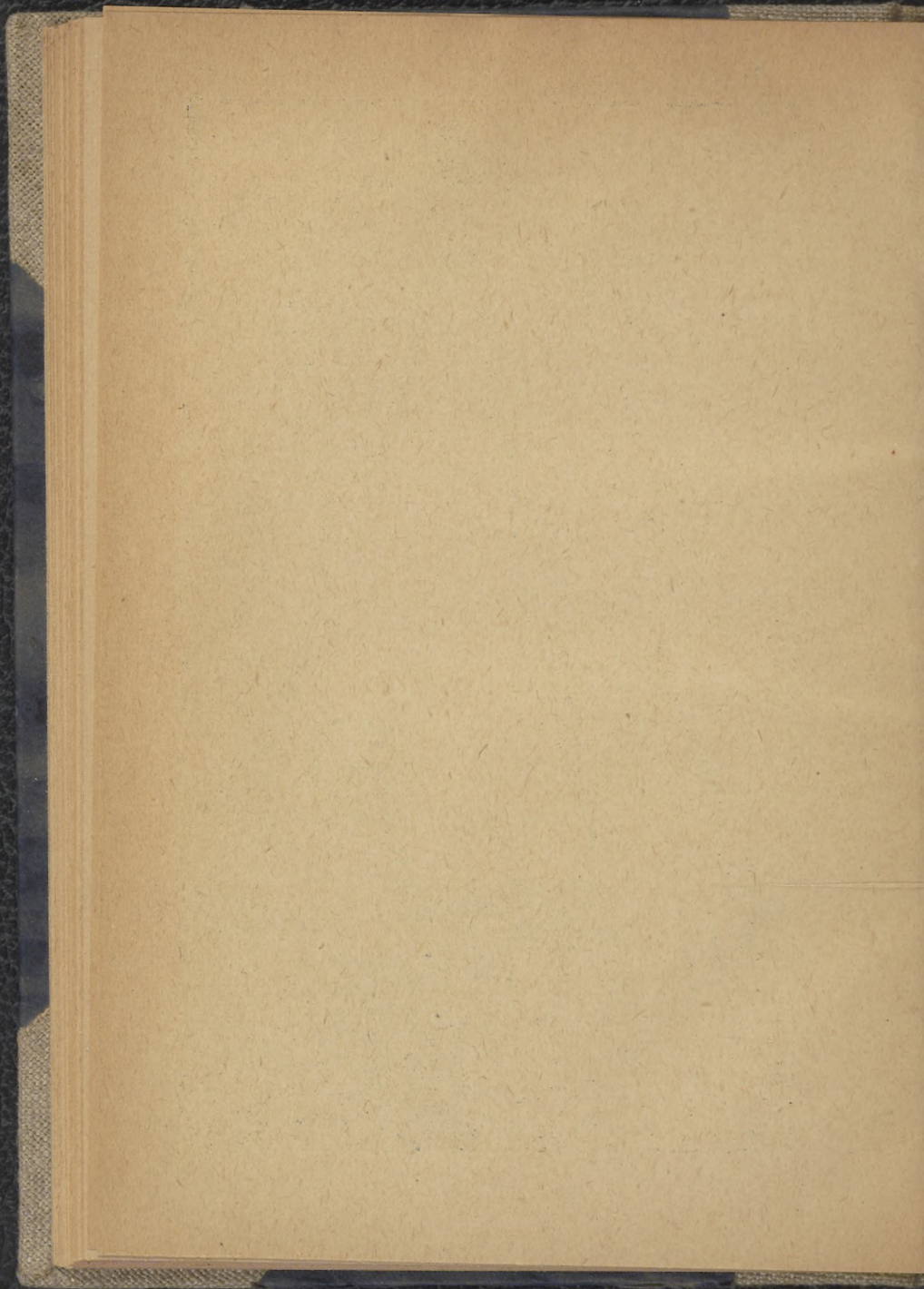
Nie przestając wygrywać na flecie, zaprowadził dzieci na górę zwaną Koppenberg, która się tam na równinie wznosiła. Nagle otworzyła się góra i śpiewak wraz z dziećmi zniknął w jej wnętrzu.

Młoda jedna dziewczyna pozostała z trzepocącym się na jej rękę dzieckiem trochę za niemi, gdy ujrzała, znikające wraz z ich przewodnikiem dzieci. Przejęta strachem pobiegła co tchu nazad do miasta.

Od niej dowiedzieli się o swoim nieszczęściu, powracający z kościoła rodzice, zaginionych dzieci. Ojcowie i matki pobiegli na Koppenberg, lecz nadaremnie szukali na niej jakiego otworu, zamkniętą była, jak przedtem.

Straszna rozpacz zapanowała w mieście. Sto trzydzieści dzieci przepadło. Burmistrz stracił trzech tęgich chłopców i kwitnącą dzie-






wuszkę, ukochaną swoją pieszczoszkę. I tak, jak dzień przedtem unoszono się nad mądrością Rady miasta,—że oszczędzili kasie tyle pieniędzy, tak teraz nieszczęśliwi rodzice przeklinali ich skąpstwo.

Burmistrz nie miał już pociechy z życia i do końca opłakiwał swoje stracone dzieci, a żona jego umarła wkrótce ze zmartwienia. Mądrzy radcowie musieli przyznać, że to oni wraz z burmistrzem przyczynili się do nieszczęścia, okrytych żalobą licznych mieszkańców miasta Hamelu, przez niedotrzymanie słowa i niewypłacenie wynagrodzenia nieznanemu człowiekowi.

Jan w szczęściu.

 Jan przesłużywszy siedm lat u swego pana rzekł pewnego razu do niego:

„Panie, termin mojej służby się skończył chciałbym chętnie powrócić do domu, do mojej matki, chciej mi pan wypłacić zasługi“. Pan odrzekł:

„Służyłeś mi przez ten czas wiernie, przeto musisz otrzymać odpowiednie wynagrodzenie“, i z temi słowy dał mu taki duży kawał złota, jak głowa Jana.

Jan wyjął chustkę, zawinął w nią bryłę złota, zarzucił ją sobie na plecy i ruszył w drogę.

Gdy tak już pewien czas wędrował, ujrzał pędzącego w jego stronę jeźdźca.

„Ach!“ zawołał Jan, jakże to piękna jest rzecz! konna jazda, siedzi się jak na krześle, nie potyka się człowiek o kamienie, oszczędza obuwie, przytem przejeżdża się kawał drogi, nie wiedząc kiedy. Jeździec, usłyszawszy te słowa przystanął i zawołał: „Ej, Janie, dlaczego biegniesz piechotą?“ „No muszę, bo mam tę bryłę zanieść do domu, jestto wprawdzie złoto, ale cięży mi tak, jak kamień i głowy podnieść nie mogę“.

„Wiesz ty, co?“ wyrzekł jeździec, „zamienimy się, ja ci dam mego konia, a ty mi dasz bryłę“.

„Ależ z największą chęcią, mówię wam, lecz będziecie się musieli porządnie nadźwigać“ odparł Jan.

Jeździec zsiadł z konia, dał cugle w ręce Jana i napominał: Jeśli zechcesz prędzej jechać, to tylko zawołaj hop, hop, a koń popędzi jak strzała.

Szczeście Jana granic nie miało, gdy się znalazł na koniu i że nie czuł więcej ciężaru złota. Po jakimś czasie, wpadło mu do głowy, by prędzej jechać i zawołał hop, hop. Koń pomknął galopem i nim się Jan zdążył obejrzeć, zrzucił go do rowu. Przechodzący drogą wieśniak z krową zatrzymał konia, podczas gdy Jan zbierał rozbite ręce i nogi.

O, już nigdy nie dosiadę konia, to głupie żarty ta cała konna jazda. Wolę stokroć wa-

szą krowę, można najspokojniej iść za nią i ma się swoje mleko, masło i ser. Dałbym wiele, gdybym to ja miał taką krowę!

„A więc“, odparł wieśniak, jeśli wam to do szczęścia potrzebne, to wam zamienię konia na krowę“.

Jan uszczęśliwiony na nowo, oddał wieśniakowi konia, a sam pędząc przed sobą krowę, myślał o swoim szczęściu. „Mogę teraz żyć zupełnie spokojnie, mając tylko kawałek chleba, mogę ile mi się tylko spodoba dojeść masła i sera. Czego więcej może pragnąć moje serce. Gdy zajechał do oberży, zjadł wszystko, co zabrał z sobą i kazał sobie podać szklanę piwa. Potem pędził dalej krowę ku wsi, gdzie mieszkała jego matka. Upał był straszny i pragnienie zaczęło mu coraz bardziej dokuczać. Wreszcie przypomniał sobie, że może nadoić trochę mleka i zaspokoić pragnienie. Nie mając przy sobie szkopka, nadstawił czapki, krowa jednak ani kropli mleka dać nie chciała, lecz zniecierpliwiona, zaczęła kopać tylnymi nogami nieszczęśliwego Jana.

Szczęśliwym trafem przechodził drogą rzeźnik, a ujrzawszy co się dzieje, zatrzymał taczkę, na której leżał karmny wieprz.

„Hola, co to znaczy“, zawołał i pomógł się podnieść Janowi. Ten opowiedział o wszystkim rzeźnikowi, który mu podał flaszkę z wódkę i wyrzekł: „Napijcie się trochę, to wam dobrze zrobi. Nic dziwnego, że ta krowa nie-

chce dać mleka, bo to jest stare bydło, zdatne już tylko do pługa, lub na rzeź“.

O, mój Boże!“ lamentował Jan, łapiąc się za głowę. „Ktoby to był pomyślał! Można co prawda mieć sporo mięsa, jeśli się krowę zaszlachtuje, ale ja co prawda nawet nie lubię krowiego mięsa. Co innego, gdybym miał takiego prosiaka! To zupełnie inaczej smakuje, a do tego jeszcze kielbasa“.

„Słuchajcie Janie“, odparł rzeźnik, „żał mi was doprawdy, żeście tyle strat ponieśli, więc niech tam już moja krzywda będzie, zamienię się z wami na krowę“.

Naturalnie, że się Jan z wdzięcznością na ten handel zgodził, a podziękowawszy serdecznie dobremu rzeźnikowi, oddał mu krowę i wyciągnąwszy świnie z taczki, ujął w rękę sznurek, którym była uwiązana i poszedł dalej.

Idąc myślał o tem, jak mu się wszystko podług życzenia układa; gdy bowiem spotka go jakie zmartwienie — zaraz się znajdzie na nie pocieszenie. Wkrótce przyłączył się do niego młody chłopiec, niosący gęś pod pachą. W rozmowie, Jan opowiedział mu o swoim niebywałem szczęściu, jakie go spotykało podczas drogi, jak on to fortunnie zamieniał zły towar na coraz lepszy.

Chłopiec zaś opowiadać począł Janowi, że niesie gęś do miasta do bogatych ludzi, gdzie ją mają upiec na chrzciny. „Podnieście ją je-no“, ciągnął dalej, ująwszy gęś za skrzydła, „jaka ciężka, ale bo też całe ośm tygodni ją

karmiono. Kto ugryzie kawałek pieczeni, ten będzie musiał ocierać sobie tłuszcz po obu stronach ust'.

„Tak, to prawda“, odrzekł Jan, waząc gęs w rękę. „Ma ona swoją wagę ale i mój wieprzek niezgorszy“. Chłopak tymczasem oglądał się podejrzliwie na wszystkie strony i zaczął głową kiwać.

„Słuchajcie“, wyrzekł nareszcie, z waszą świnią kiepska sprawa. We wsi, skąd właśnie idę, skradziono tej nocy chłopu takiego samego wieprzka. Boje się bardzo, czy to nie ten sam, którego wy tu macie w rękę. Wysłano ze wsi ludzi i nie tego by z wami było, gdyby was tak przyłapano; już najmniejszą karą byłaby koza w ciemnym lochu“.

Biedny Jan zmartwił się srodze. O, Boże, wyratuj mnie z tego nowego nieszczęścia! „Dopomóż mi bracie, wyście tu przecież znani, dam wam prosiaka, a dajcie mi za niego gęs“.

„Ha, muszę już dla was zaryzykować, więc dawajcie prędko prosiaka, bierzcie gęs i zmykajcie jaknajspieszniej, by uniknąć przykrości“.

Z temi słowy, sprytny chłopak, wziął do ręki sznurek i oddalił się, pędząc przed sobą prosiaka.

Jan szedł najspokojniej z gęsią pod pachą ku domowi, dziękując Bogu, że mu znowu dopomógł wydostać się z kłopotu.

„Pomyślawszy dobrze, to z tej zamiany wynoszę jeszcze dla siebie korzyść; po pierw-

sze wspaniałą pieczeń, potem wyborny smalec gęsi, który wystarczy do chleba na jakie trzy miesiące; a wreszcie wspaniałe pierze białe, którem sobie każę napchać poduszkę pod głowę, a, cóż to za radość będzie dla matki.

Gdy już był blisko domu, ujrzał na drodze szlifierza, stojącego przy swoim wózku i śpiwającego wesoło przy robocie. Jan przystanął i przemówił do niego: „Widać, że wam się dobrze powodzi, kiedy tak wesoło wyśpiewujecie.

„O tak“, odparł zagadnięty. „To rzemiosło jest naprawdę złotodajne. Prawdziwy szlifierz ile razy sięgnie do kieszeni, tyle razy pełne ręce pieniędzy wyjmie. Ale gdzieżecie tę piękną gęś kupili?“

— Nie kupiłem jej, lecz zamieniłem na prosiaka“.

— A prosiaka?

— Dostałem za krowę.

— A krowę?

— Tę otrzymałem za konia

— A konia?

— Za konia dałem tak wielką bryłę złota, jak moja głowa.

— A skąd wzięłeś złoto?

— Dostałem je w nagrodę za siedm lat wiernej służby.

— Ho, ho, a to z was głowa, żeście sobie tak radzili, chwaiił szlifierz, „macie takie szczęście, że jeszcze pewnego rana, jak się obudzicie

ze snu, usłyszycie w waszej kieszeni brzęczące pieniądze—wówczas już nikt wam równym nie będzie“.

— A co mam uczynić? zapytał Jan.

— Ano, tak, jak i ja, szlifierzem zostać; do tego nie trzeba wiele, oselkę tylko, a reszta się znajdzie. Mogę wam zresztą dać moją; nie chcę od was nic więcej, jak tylko tę gęs, cóż, zgadzacie się?

— Jakże się nawet możecie pytać o to, odparł Jan, przecież stanę się najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Gdy będę miał dużo pieniędzy, skoro sięgnę do kieszeni, to czego mogę więcej pragnąć? Dał mu gęs i sięgnął po oselkę.

— A teraz, rzekł szlifierz, podnosząc zwyczajny kamień z ziemi, „macie tu jeszcze w dodatku ten kamień, na którym można dobrze prostować stare gwoździe. Weźcie go i dobrze schowajcie“.

Jan wziął oselkę i kamień i z lekkim sercem poszedł dalej, oczy błyszczały mu radością.

„Naprawdę, że ja się chyba w czepku musiałem urodzić“, zawołał. „Wszystko, czego tylko zapagnę, spełnia mi się natychmiast, tak, jak dziecku szczęścia“.

Tymczasem coraz większe znużenie go opanowywało, a i głód dawał mu się we znaki. Niemiał go jednak czem zaspokoić, bo już przedtem zjadł cały zapas, jaki z sobą zabrał. W końcu szedł już z wielkim wysił-

kiem, przytem strasznie mu kamienie ciążyły. Nie mógł się obronić myśli, że byłoby wspa-
niale, gdyby się ich mógł teraz pozbyć.

Nareszcie zawlókł się do studni przydroż-
nej, położył na brzegu kamienie i nachylił się,
by się napić trochę zimnej wody, lecz w tej
samej chwili oba kamienie wpadły do studni.

Jan ujrawszy, co się stało, podskoczył
radośnie i znowu dziękował gorąco Bogu, że
mu i tym razem okazał swą łaskę, bowiem
sam, by sobie nie czynić wyrzutów, nigdyby
się nie pozbył tego niemiłosiernego ciężaru.

„Tak szczęśliwego człowieka, jak ja—nie-
ma na świecie“, wykrzykiwał radośnie.

Wolny od wszelkich ciężarów, z lekkim
sercem przybył nareszcie do domu swej matki.

Stołeczku nakryj się, osiołku
złoty i kiju wyjdźcie z worka.

Rzed laty żył pewien krawiec, który miał
trzech synów i tylko jedną kozę. Ale koza,
ponieważ ich wszystkich karmiła swem mle-
kiem, więc musiała mieć dobre pożywienie
i codzień trzeba ją było wyprowadzać na łąkę.
Synowie krawca czynili to po kolei. Pewnego
razu zaprowadził ją najstarszy na cmentarz,

gdzie rosły najpiękniejsze zioła, pozwolił jej jeść i biegać.

Wieczorem, gdy czas było wracać do domu zapytał: Czyś syta kozuniu? Koza odrzekła.

„O, najadłam się do syta, mee, mee!“

„To chodź do domu“, rzekł chłopiec i zaprowadził ją na sznurku do obory.

„I cóż?“ zapytał stary krawiec, „czy koza miała dostatecznie paszy?“

O, odparł syn, „najadła się tak, że ledwie szła do domu“

Ojciec jednak chciał się sam przekonać i poszedł do obory; pogłaskał ulubione zwierzę i zapytał: „Najadłaś się kozuniu?“ A koza na to: „Z czego mam być syta? Biegałam po grobach, gdzie nie było ani listeczka, mee, mee!“

„Co słyszeł!“ zawołał krawiec i pobiegł do syna. „Ty kłamco jeden, powiedziałaś, że się koza najadła, a fyś ją głodził“ Rozłoszczony, zdjął łokieć ze ściany i bił nim syna, poczem wypędził go z domu. Nazajutrz przyszła kolej na drugiego syna wyprowadzić kozę na pastwisko. Ten zaprowadził ją do ogrodu, gdzie same dobre zioła rosły i koza objadła je do czysta. Wieczorem, gdy pora była wracać do domu zapytał: „Kozo, jesteś syta?“ Koza odrzekła:

„Tak jestem syta, że już nawet jednego listeczka bym nie mogła zjeść, mee, mee!“

„No to pójdz do domu, rzekł młodzieniec i wzięwszy kozę za sznurek zaprowadził ją do obory i przywiązał ją mocno.

„I cóż“, zapytał stary krawiec, czy koza miała dosyć do jedzenia?“ O, tak, odrzekł syn, „jest tak syta, żeby już nawet jednego listeczka zjeść nie mogła. Ale i tym razem chciał się krawiec sam przekonać, poszedł do obory i zapytał kozy: „Kozo, czyś syta?“

„Z czego mam być syta? Skakałam tylko po grobach i nie znalazłam ani jednego listka, mee, mee!“

„Ten niegodziwy chłopiec!“ krzyczał krawiec. „Dać się głodzić tak pocziwemu stworzeniu!“ Wybiegł z obory i tak samo, jak starszego syna, wypędził i drugiego z domu.

Przyszła kolej na trzeciego syna. Ten, widząc, co się dzieje, wyszukał gęste zarośla z najpiękniejszą trawą i pozwolił kozie jeść do syta. Wieczorem, przed powrotem do domu, zapytał: „Najadłaś ty się aby, kozo?“ Koza odrzekła: „Jestem tak najedzona, że nawet małego listeczka bym nie przekła, mee, mee!“

„A więc chodź do domu“, rzekł chłopiec i zaprowadził kozę do obory.

„I cóż“, rzekł krawiec, czy już tym razem koza miała dosyć do jedzenia? Ależ naturalnie, odparł z przekonaniem syn, tak się najadła, żeby już ani listka nie przekła więcej.

Krawiec nie dowierzał, poszedł sam i zapytał: „No, chyba już jesteś syta?“ Złośliwe zwierzę odparło:

„Z czego mam być syta, skakałam tylko po grobach, gdzie nie znalazłam ani jednego listeczka, mee, mee!“

„O, ci łgarze!“ zawołał krawiec, jeden, jak i dwaj drudzy chyba Boga się nie boją i żadnego obowiązku nie znają! Dłużej mnie nie będziecie okłamywać!“ I z twarzą wykrzywioną złością, zaczął niemilosiernie okładać łokciem plecy biednego chłopca, aż ten musiał uciec z domu.

Stary krawiec pozostał teraz sam jeden ze swoją kozą. Na drugi dzień zrana poszedł do obory, popieścił kozę i rzekł:

„Pójdź moje kochane zwierzątko, zaprowadzę cię sam na łąkę“. „No, tu już możesz się najęść do syta“, mówił do swojej kozuni, gdy ją przyprowadził na bujne pastwisko. Wieczorem zapytał: „I cóż kozuniu, najadłaś się do syta?“ Kozą odrzekła: „Tak się najadłam, że już ani jednego listeczka bym nie przelknęła więcej, mee, mee!“

„No to chodź do domu“, rzekł krawiec, zaprowadził ją do obory i mocno przywiązał. Gdy już odszedł, powrócił jeszcze raz i zapytał: „Nareszcie jesteś już chociaż raz syta!“ Ale i tym razem kozą znowu to samo odpowiedziała:

„Z czego mam być syta!“

Biegałam tylko po grobach, gdzie nie znalazłam ani jednego listeczka, mee, mee!“

Skoro krawiec to usłyszał, zdumiał się niezmiernie i pojął natychmiast, że niesłusznie wypędził swoich synów. „Poczekaj“, zawołał, „ty niewdzięczne stworzenie, wypędzić cię to zbyt mała kara, ja cię tak naznaczę, że ci się nie

wolno będzie więcej pokazać pomiędzy uczciwymi krawcami“. Pobieglł spiesznie na górę, przyniósł brzytwę, namydlił kozie łeb i ogolił ją na gładko, potem wziął szpicrutę, ponieważ uważał, że łokieć był za szlachetnem narzędziem i sprawił jej takie lanie, że koza zmykała z całych sił.

Krawiec siedział wciąż zmartwiony i myślał o swoich synach, ale nie wiedział, gdzie się znajdują.

Najstarszy poszedł na naukę do stolarza; był pilnym i posłusznym, a gdy wyterminował i miał iść na wędrowną, to mu majster podarował stoliczek z zwyczajnego drzewa, lecz miał on dziwne właściwości. Gdy bowiem wymówiło się: „Stoliczku, nakryj się“, to dobry stoliczek nakrywał się czystą, perwetką i znalazło się na nim nakrycie, półmiski z gotowanym i pieczonem mięsem i duża szklanka z winem czerwonym, aż się serce radowało. Młody terminator pomyślał: „To ci wystarczy na całe życie“. Poszedł dalej w drogę i nie troszczył się o żadną restaurację, bo jak mu się podobalo, to wszędzie, w polu, na łące, w lesie, wymówił tylko: „Stoliczku nakryj się“ i miał jeść i pić, ile tylko zapragnął. Wtem pomyślał o starym ojcu, żał mu się zrobiło, że sam pozostał i postanowił powrócić.

W drodze musiał odpocząć w jakiejś oberży, gdzie zastał pełno gości; witano go serdecznie i zapraszano, by z nimi jadł i pił.

„Nie“, odparł stolarz, „niechcę wam za-

bierać tych kilku kęsów, lepiej wy będziecie moimi gośćmi“. Roześmiano się z jego słów, goście sądzili, że sobie żarty stroi.

Lecz on, postawił swój drewniany stolik na środku pokoju i wyrzekł: „Stoliku nakryj się“. Momentalnie znalazły się na nim potrawy tak wspaniałe, że gospodarz oberży nie mógłby ich tak smacznie przyrządzić. „Bierzcie, kochani przyjaciele“, rzekł stolarz, a goście nie dali sobie drugi raz powtórzyć, przysunęli się i zaczęli zajadać. Najwięcej ich zadziwiło, że co jeden półmisek się opróżnił, to zjawiał się na jego miejsce pełny. Gospodarz stał zdaleka i pomyślał: „taki kucharz toby ci się w twojem gospodarstwie przydał“.

Gdy zachwyceni goście wraz ze stolarzem udali się nareszcie na spoczynek, wziął gospodarz taki sam zwyczajny stolik i postawił go przed łóżkiem swego gościa, a w zamian zabrał mu jego.

Nazajutrz około południa, stolarz stanął na miejscu u swego ojca, który go z radością przyjął i dopytywał się, co się z nim przez ten czas działo.

„No, a cóżeś przyniósł ze swojej wędrówki, zapytał ojciec, dowiedziawszy się, że syn terminował u stolarza.

„Ojcze, przyniosłem co może być najlepszego, to ten stolik“. Krawiec oglądał stolik na wszystkie strony i rzekł: „To żaden majstersztyk, to stary, gałgański stolik“.

Ale to jest stolik „Nakryj się“. Zaproście

tylko ojciec wszystkich krewnych, a zobaczycie, jak się uraczą“. Gdy się krewni zebrali, stolarz postawił stolik na środku pokoju i wyrzekł: „Stoliku nakryj się!“ Ale stolik ani się poruszył; biedny terminator domyślił się zaraz, że mu stolik zamieniono. Krewni go wyśmieli i powrócili głodni do domu. Ojciec wziął się dalej do łatania, a syn poszedł na robotę do majstra.

Młodszy syn krawca poszedł do terminu do młynarza, a gdy skończył i miał wyruszyć na wędrowkę, podarował mu gospodarz osiołka, co złotem pluł. Gdy się wymówiło „Braklebrit“, pocziwy osiołek wypluwał same złote monety. „A to wspaniała rzecz“, ucieszył się młynarczyk, podziękował dobremu panu i powędrował w świat. Wszędzie, gdzie tylko się pojawił, miał wszystko na zawołanie, bo gdy zawołał: „Briklebrit“, miał pieniędzy, ile tylko chciał i mógł kupić co tylko zapragnął.

W szczęściu pomyślał o ojcu i postanowił powrócić do domu. Gdy przybył odpocząć po drodze do tej samej gospody, gdzie zamieniono stolik jego bratu, gospodarz zauważył, że młynarz nie chce popuścić z rąk swego osiołka; to mu się wydało podejrzanem.

Gdy zajrzał przez dziurkę od klucza do pokoiku swego gościa, ujrzał, jak ten rozpostarł na ziemi chusteczkę i rzekł do osiołka „Briklebrit“ i jak w tej samej chwili zwierzę zaczęło złote monety wypluwać.

„Aj, do licha, ten osiołek mi się podoba“

pomyślał oberżysta i gdy gość zasnął, zamienił osiołka.

Gdy młodszy syn przywitał się z ojcem, rzekł do niego: „No, teraz już możecie ojczy rzucić igłę, mam tyle pieniędzy, że wystarczy dla nas wszystkich, zaprosicie tylko gości, a pokażę wam, co mój osiołek potrafi.

Rozpacz biednego młynarza była straszną, gdy się przekonał, że mu osiołka zamieniono. Nie pozostało mu nic innego, jak pójść do roboty, a stary ojciec musiał się znowu wziąć do igły.

Trzeci brat poszedł na naukę do tokarza. W tym czasie otrzymał listy od braci i dowiedział się, co się stało. Po wysłużeniu swego czasu dostał od swego majstra worek. „W środku leży kij“. Gdy ci kto bardzo dokuczy, to wystarczy, gdy wyrzekniesz: „kiju z worka“, a kij wyskoczy i zacznie tańczyć po plecach ludzi, że się przez jaki tydzień z miejsca ruszyć nie będą mogli“. Tokarz podziękował i poszedł do oberży, gdzie ~~u~~ braci tak haniebnie okradziono. Gdy się ~~położył~~ na ławkę i podsunął sobie worek ~~pod~~ głowę, gospodarz pomyślał, że i w tym coś być musi. W nocy zaczął wyciągać worek z pod głowy nieznajomego, lecz w tej samej chwili ten się zerwał i krzyknął: „kiju z worka“. W oka mgnieniu gospodarz poczuł na plecach razy tak silne i częste, że wkrótce upadł i zaczął krzyczeć.

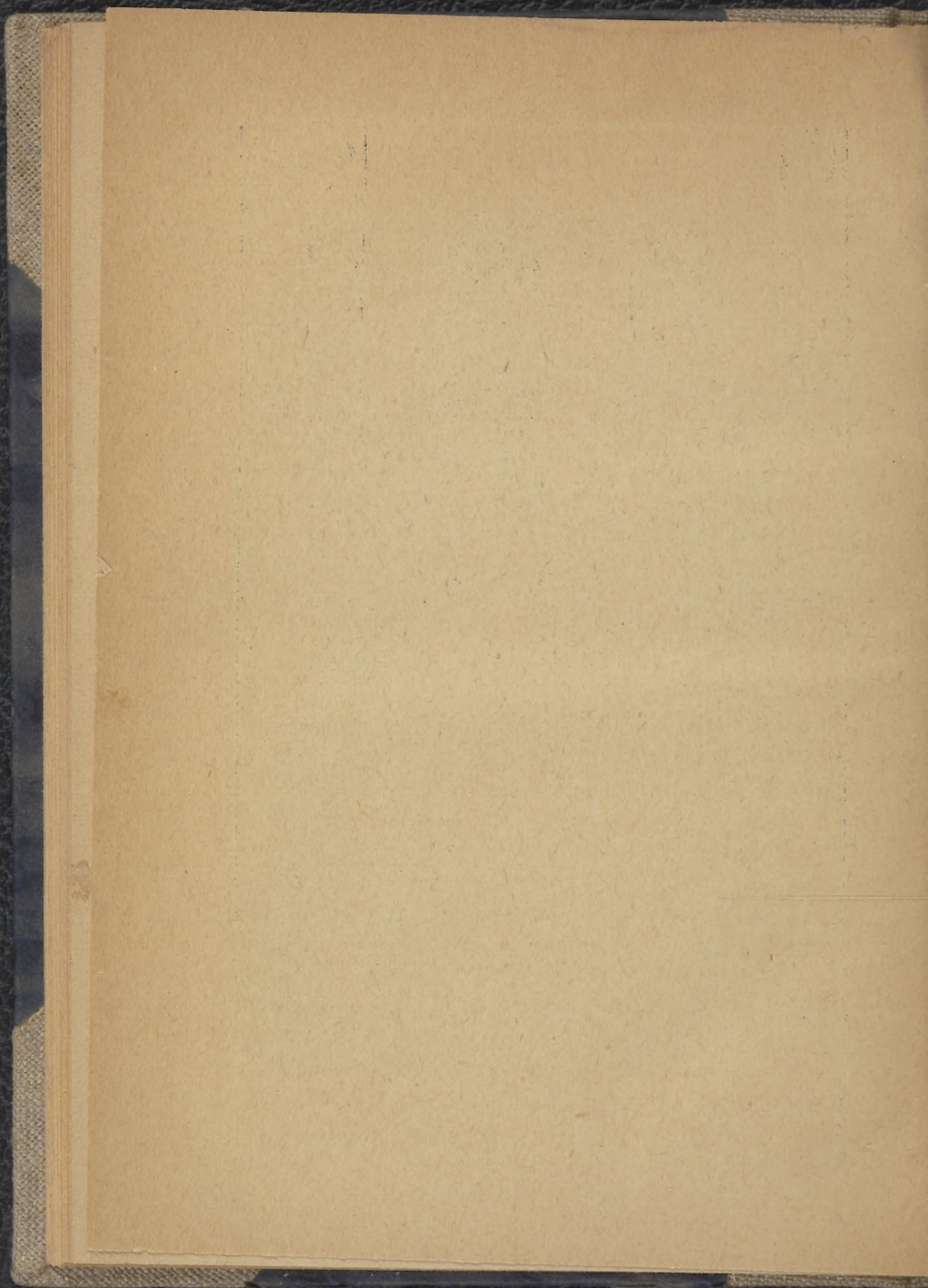
„Jak oddasz stolik i osiołka, to i kij powróci do worka“.

„Oddam, oddam wszystko, byle ten okrutny kij się schował. Tokarz przybył nazajutrz do ojca i tak z nim, jak i z braćmi bardzo się ucieszył.

„Widzicie, tym oto kijem zmusiłem gospodarza zajazdu do oddania „stolika nakryj się“ i złotego osiołka. A teraz możecie zwołać wszystkich krewnych, najedzą się oni teraz do syta i jeszcze kieszenie napchają złotem.

„Krawiec z początku nie chciał wierzyć, ale w końcu dał się namówić. Gdy już wszyscy się zebrali, tokarz rozpostarł chustkę na ziemi, postawił osiołka na środku i zwrócił się do brata: „A teraz, mow z nim, kochany bracie. Młynarz wyrzekł: „Briklebrit“ i momentalnie potoczyły się po ziemi złote monety; krewni ponapychali sobie kieszenie, że omal nie pękły. (Poznaję po Tobie, miły czytelniku, że i Ty znalazłbyś się tam chętnie) Potem najstarszy brat wyrzekł do stolika: „Stoliku nakryj się“ i w mig zjawiły się najwspanialsze potrawy i wina. Odbyła się tak wspaniała uczta, jakiej krawiec i jego krewni nigdy nawet we śnie nie widzieli. Odtąd ojciec i trzej synowie żyli w szczęściu i wspaniałości.





Till Sowizdrzał.

Kto z Was, mili czytelnicy nie słyszał o Tillu Sowizdrzale? Był to głupi chłopiec zawsze usposobiony do niedorzecznych kawałów, chociaż nie złośliwych. Ojca stracił wczesnie a matka nie mogła go poprawić, pomimo, że próbowała rozmaicie i dobrem słowem i surowością, a nawet biciem. Pracować i uczyć się nie chciał, ale za to bezustannie miał figle w głowie.

„Wyucz że się jakiego rzemiosła przynajmniej, bo przecież z głodu umrzesz, albo będziesz musiał żebrać“ napominała go ciągle matka i chłopiec nareszcie przyrzekł, że się wyuczy takiej sztuki nadzwyczajnej, że się cały świat zadziwi.

Pewnego dnia matka, będąc zajęta na górze przy kuchni, usłyszała jakiś hałas. Pospieszyła do okna, które wychodziło na rzekę, przez którą most prowadził. I co, myślicie tam ujrzała? Na moście stało pełno ludzi, kobiet i dzieci, starzy i młodzi cisnęli się, by się przyrzecć linie jaką Till rozwiesił od domu swej matki przez rzekę do sąsiedniego domu. Po-

czem z kijem w rękę przechodził po sznurze w powietrzu, jak prawdziwy linoskoczek. Matka na ten widok rozzłościła się bardzo. „Poczekaj, Till, już ja ci zapłacę za to widowisko!” wyrzekła i porwawszy nóż pobiegła na dach i tam przerznęła sznur, przywiązany do belki.

Naturalnie sznur pękł i — bęc! Till wpadł do wody między kaczki, które tam naspokojniej pływały i kwakały. Nagle frunęły przestraszone, ale Till wydobywał się z wody i płynął pod niemi.

Gdy ludzie ujrzeli, że mu się nic nie stało, zaczęli się śmiać i kpić z niego. Mokry, jak pudel wyszedł na brzeg i szedł zawstydzony do domu. „Sztuka, jakiej się wyuczyłem nie jest jeszcze ta właściwa“, mówił do siebie; przyniosła mi tylko wstyd i szkodę“.

Pewnego razu był Till wraz z matką zaproszony do znajomych na ucztę z powodu uroczystości poświęcenia kościoła. Było tam dużo rozmaitego jedzenia, a że Till w domu swej matki miał tylko skromne pożywienie, przeto dogodził sobie porządnie i tak się objadł, że ze zmęczenia, aż mu się spać zachciało; poszedł więc do małego ogródka przy domu i poszukał sobie miejsca, gdzieby mógł spokojnie się przespać.

Wtem ujrzał w kącie kilka pustych uli, więc wszedł do jednego, gdzie zaraz zasnął i spał tak do późnej nocy. O północy przyszli złodzieje i chcieli ukraść jeden ul.

„Najcięższy ul jest najpełniejszy“, rzekli

i zabrali z sobą ul, z śpiącym w nim Tillem. Zbytnik obudził się już przedtem i słyszał rozmowę złodziei, ale się zachowywał cichutko, jak mysz.

Gdy go już unieśli spory kawał drogi, wy dostał rękę z kosza i pochwycił za czuprynę jednego ze złodziei. Złodziej się rozłościł i pogroził swojemu koledze. Tak długo Till zbytnik to robił, dopokąd spółnicy nie cisnęli ula i nie zaczęli się bić. Podczas tego Till wyskoczył z kosza i umknął, pozostawiając złodziejom próżny ul.

Ponieważ Till przez wszystkich sąsiadów, ba, nawet przez całe miasto uważanym był za głupca, chciał on się przeto na tych ludziach zemścić. W tym celu zawiesił znowu sznur, ale tym razem nad płaszczyzną. I znowu zebrała się gromadka dzieci i dorosłych, by widzieć, co też to znowu za świeży kawał głupi Till wymyślił.

Ale on, stojąc na sznurze wołał:

„Pokażę wam sztukę, jakiej żaden z was dotąd jeszcze nie widział. Do tego jednak potrzeba mi trzystu par butów, lub trzewików, które mi tu musicie podać.

Wszystkie, obecne tu dzieci zaczęły gorliwie zdejmować buciki z nóg i podali je Tillowi do góry. Ponieważ brakowało jeszcze kilkunastu par, więc chłopcy pobiegli do miasta i sprowadzili swoich kolegów; również i doróśli, będący przy tem pozdejmowali obuwie,

by dopełnić potrzebnej liczby, bo sami byli niezmiernie ciekawi tej nowej sztuki Tilla.

Ten pozawieszał buty i trzewiki w jednym rzędzie na sznurze, a w końcu zdawał się je liczyć, poczem zawołał: „Brakuje jeszcze trzech par, ale na dziś zapóźnie już na zaprodukowanie mojej sztuki; macie wasze buty i trzewiki z powrotem!“ Po tych słowach rozciął sznur na połowę, przyczem buty i trzewiki pospadały na ziemię w tłum dorosłych i dzieci. Trudno opisać, co tam się działo; hałas i rwetes niebywały, jedni przez drugich chcieli wy dostać swoje obuwie. „To są moje buty!“ „Nie, to moje!“ „T, masz mój jeden trzewik!“ Tak krzyczały setki głosów; dzieci się biły między sobą, potem starzy, którzy przyszli dzieciom na pomoc. Gdy hałas i bójka dosięgły szczytu, zawołał Till ze sznura: „Mnie ogłosiliście za głupca, a teraz widzicie, że jeden, jedyny głupiec potrafił wielu na dudków wystrychnąć“

„No, sztuki mi się nie udają“, rzekł Till Sowizdrzał; „spróbuję ją teraz rzemiosła“; i zgodził się do piekarza, który chętnie bardzo przyjął tego zwawego i zwinnego czeladnika. Jakiś czas szło zupełnie dobrze, ale potem nie mógł się Fill oprzeć pokusie płatania świeżych figli. Piekarz był gruby, ociężały człowiek, dbający bardzo o swój wypoczynek, a za siebie kazał czeladnikowi pracować. Pewnego, przedświątecznego wieczoru, gdy ogromnie dużo do wypieku było, chciał on się, jak zwykle wcześniej udać na spoczynek, gdy Till zapytał go jeszczej

„I cóż, majstrze, co mam upiec na jutro?“
Piekarz odrzekł ze złością: „A możesz upiec, co ci się tylko podoba, kota morskiego, sowę, tylko zostaw mnie w spokoju z tem!

Gruby piekarz udał się do łóżka; Till zabrał się do roboty i uformował z zagniecionego ciasta same koty morskie i sowy, które potem wsadził do pieca i ładnie, żółto upiekł.

Gdy majster wyszedł nazajutrz rano z swego pokoju sypialnego, jakże wielkim był jego przestрах, gdy zamiast bułeczek do kawy same koty morskie i sowy ujrzał na ladzie sklepowej.

„Zapłać mi zaraz za mąkę, jaja i masło, ty niegodziwy chłopaku i wynoś mi się stąd!“ krzyczał na Tilla. Ten wyciągnął swój mały woreczek, zapłacił za ciasto piekarzowi, wziął na plecy kosz z pieczonymi kotami i sowami i poszedł sobie.

Usiadł na rynku i zaczął wołać na cały głos: „Koty morskie i sowy, kto kupi dla swoich dzieciątek.

Zaczęli się ludzie schodzić i w krótkim czasie rozkupili to oryginalne pieczywo, ku uciesze swoich dzieci i Till zarobił trzy razy tyle ile zapłacił piekarzowi. Ten, widząc to podrapał się w głowę i pomyślał: „Dlaczego ja sam nie sprzedałem to pieczywo? Sowizdrzał był mądrzejszym odemnie!“

A Till sobie myślał: „Do rzemiosła nie mam zręczności, zobaczę, może ja się zdam na kupca“.

I nie wiele myśląc zebrał się i poszedł na jarmark koński i przyjrzał się, jak robią sprzedawcy i nabywcy. W tem napotkał pewnego koniarza—tak nazywają handlarzy koni,—który się chwalił, że pozna wiek każdego konia, którego mu przyprowadzą. „Wystarczy mi, gdy go pociągnę za ogon, jeśli mu włos wyłazi, to ręczę, że koń jest stary.“

„Poczekaj,“ pomyślał Sowizdrzał, „twoje udawanie wielkiego, narazi cię na wstyd i drwiny!“

W tym celu kupił starą, łysą szkapę, która miała już zaledwie mały ogonek. Przylepił jej gliną wspaniały ogon, zaprowadził na rynek i zawołał koniarza: „Przyjrzyj się mojemu wspaniałemu wierzchowcowi i zgadnij wiele może mieć lat!“

„Ha, ha, muszę się przekonać,“ rzekł handlarz koni, przystąpił bliżej i zaczął z całych sił ciągnąć konia za puszysty ogon. Ten wszakże pozostał mu w ręku, a koniarz upadł, jak długi na wznak; wszyscy zebrani na rynku kupcy wybuchnęli na ten widok głośnym śmiechem. Till sowizdrzał krzyczał i desperował na cały głos, że jego wspaniały rumak pozbawiony został tak pięknej ozdoby. Handlarz domyślił się figla, ale mu było wstyd i nie chciał się procesować; sięgnął natychmiast do kieszeni, zapłacił Tillowi odszkodowanie i opuścił jarmark.

Till wsiadł na swoją starą klacz i z pełną kieszenią powracał do domu. I znowu znalazł się u matki, zrospaczonej, że tyle czasu zmarnował, niczego się nie nauczył i nie zaprzestał psich figli.

Jaś i Małgosia.



bliskości wielkiego lasu mieszkał biedny drwal z żoną i z dwojgiem swoich dzieci; chłopcu na imię było Jaś, a dziewczynce Małgosia.

Biedny człowiek miał bardzo liches zarobek, a gdy nastąpiła w kraju ogromna drożyzna, nie mógł nawet dobrać codziennego chleba. Gdy się wieczorem kładł do łóżka, myśląc, co dalej czynić, westchnął i rzekł do swojej żony: „Co z nami będzie? W jaki sposób możemy żywić nasze dzieci, kiedy sami dla siebie nic nie mamy?“

„Wiesz co, mój mężu?“ odrzekła żona, „zaprowadzimy nasze dzieci jutro z samego rana do lasu, gdzie jest najgęstszy; rozpalimy im ogień, damy im jeszcze po kawałku chleba i pozostawimy ich samych. Nie znajdą więcej drogi do domu i pozbędziemy się ich.“

„Nie, żouo,“ odrzekł mąż, „tego nie uczynię, jakżebym ja mógł pozostawić moje dzieci same w lesie, przecież ich dzikie zwierzęta rozszarpia.“

„O, ty głupcze,“ rzekła znowu kobieta, „to wszyscy czworo musimy umrzeć z głodu, a ty

możesz już zacząć deski heblować na trumny," i nie dała mu spokoju, aż przystał. „Ale mi jednak żal tych biednych dzieci," rzekł mąż.

Dzieci tymczasem, nie mogąc z głodu zasnąć, słyszały rozmowę macochy z ojcem. Małgosia rozplakała się gorzkimi łzami i rzekła do Jasia: „Otóż i po nas będzie." „Cicho Małgoziu," odrzekł Jaś, „nie martw się, już ja nam pomogę."

I gdy starzy zasnęli, wstał, włożył swoją kurteczkę, otworzył tylne drzwi i wysunął się na dwór. Księżyc świecił jasno, a białe krzemki, leżące przed domem świeciły, jak diamenty. Jaś się schylił i włożył do kieszonki tyle, ile się tylko zmieścić mogło. Potem powrócił do domu i rzekł do Małgosi: „Pociesz się kochana siostrzyczko i zaśnij spokojnie, Bóg nas nie opuści." Z temi słowy, położył się do łóżeczka.

Gdy dzień nastął, jeszcze nim słońce weszło, przyszła kobieta i obudziła oboje dzieci: „Wstawajcie, wy próżniaki, pójdziemy do lasu po drzewo."

Potem dała każdemu kawałek chleba i rzekła: „Tu macie cokolwiek na obiad, ale nie jedzcie wpieryw, bo więcej nic nie dostaniecie."

Małgosia wzięła chleb pod fartuszek, bo Jaś miał w kieszeni kamyczki. Potem wybrali się wszyscy w drogę do lasu. Gdy już uszli kawałek drogi, Jaś coraz to się obejrzał na dom. Ojciec rzekł:

„Co ty się tak oglądasz, Jasiu i ciągle zatrzymujesz, uważaj, byś nie zapomniał twoich nóg.“

„Ach, ojcze,“ odrzekł Jaś, „oglądam się za moim kotkiem, co siedzi na dachu i chce mi adje powiedzieć.“

Kobieta rzekła: „Głupcze, to nie jest twój kotek, to słońce poranne świeci nad kominem.“ Jaś nie oglądał się za żadnym kotkiem, jeno rzucał kamyki po drodze.

Gdy się znaleźli w środku lasu, rzekł ojciec: „Zbierzcie drzewa dzieci, rozpalę ogień, byście nie zmarzli.“ Jaś i Małgosia zebrali suchego chróstu, a gdy płomień strzelił w górę, rzekła kobieta: „Połóżcie się dzieci przy ogniu i odpocznijcie, my pójdziemy do lasu drzewo rąbać. Gdy skończymy, powrócimy tu po was.“

Jaś i Małgosia siedzieli przy ogniu, a gdy się zbliżyło południe, zjedli swój chleb. A słysząc, uderzenia siekiery, byli pewni, że ich ojciec jest blisko. Nie była to jednak siekierka, lecz gałąź, którą on przywiązał do suchego drzewa i którą wiatr uderzał, to w jedną, to w drugą stronę. Gdy już tak dość długo siedzieli, zamknęły im się oczy ze zmęczenia i zasnęli mocno. Późna noc już była, gdy się narreszcie przebudzili. Małgosia zaczęła płakać i rzekła: „Jak my się z tege lasu wydostaniemy!“ Lecz Jaś ją pocieszał, „poczekaj tylko trochę, dopóki księżyc nie wejdzie, potem znajdziemy drogę z łatwością.“ I gdy księżyc zaświecił w pełni, wziął Jaś siostrzyczkę za rękę

i poprowadził ją śladem rozrzuconych krzemyków. Całą noc szli djamentowym szlakiem dopiero nad ranem stanęli przed domem swego ojca. Zapukali do drzwi, a gdy kobieta otworzyła i ujrzała, że to Jaś i Małgosia, zawołała gniewnie: „Wy niedobre dzieci, dlaczegoście tak długo w lesie spali, myśleliśmy, że już wcale powrócić nie chcecie.“

Ojciec ucieszył się bardzo, bo nie mógł tego przenieść, że ich tak samych pozostawił.

Wkrótce potem znowu bieda zajrzała drzwiami i oknami i dzieci usłyszały, jak macocha w nocy mówiła do ojca: „Znowu wszystko zjedzone, mamy zaledwie jeszcze pół bochenka chleba i na tem koniec. Trzeba nam się koniecznie pozbyć dzieci, zaprowadzimy ich głębiej w las, żeby nie mogły odnaleźć drogi, bo inaczej niema dla nas ratunku.“

Biednemu ojcu znowu się ciężko na sercu zrobiło i pomyślał, że lepiej się przecież ostatnim kęsem podzielić z swemi dziećmi. Kobieta jednak nie zważała na jego prośby, klęła go i czyniła mu wymówki. Kto mówi A, musi także i B powiedzieć, a że on za pierwszym razem uległ, więc musiał to i po raz drugi uczynić.

Dzieci nie spały jeszcze i znowu całą rodzinową usłyszały. Gdy starzy posnęli, wstał znowu Jaś i chciał wyjść, tak, jak i przeszłym razem, nazbierać krzemyków, lecz kobieta zamknęła drzwi i Jaś nie mógł się wydostać. Ale pocieszał swoją siostrzyczkę, mówiąc: „Nie płacz, Małgosiu, dobry Bóg i teraz nam dopomoże.,

Wczesnym rankiem znowu macocha obudziła dzieci i dała każdemu z nich, jeszcze po mniejszym kawałku chleba niż przeszłym razem. Po drodze do lasu, Jaś znowu przystawał i rozrzucał podrobione kawałki chleba.

„Jasiu, co stoisz oglądasz się?“ zapytał ojciec. „Oglądam się za moim gołąbkim, co siedzi na dachu i chce mi adje powiedzieć,“ „Głupi,“ rzekła macocha, to żaden gołąb, tylko słońce poranne świeci nad kominem. Ale Jaś rozrzucił wszystkie okruszyny po drodze.

Kobieta zaprowadziła dzieci w głąb lasu, gdzie póki żyją jeszcze nie były. Rozpalono znowu duży ogień i matka rzekła: „Posiedźcie tu trochę, dzieci, a jak się zmęczycie, możecie zasnąć; my idziemy do lasu drzewo rąbać, a wieczorem po robocie, przyjdziemy po was i zabierzemy was do domu.

I znowu powtórzyło się wszystko, jak wtedy, ciemna noc nastąpiła, a nikt po dzieci nie przyszedł.

Gdy księżyc znowu całym blaskiem zaświecił, wziął Jaś siostrzyczkę za rączkę i rzekł: „Uspokój się Małgoś, już my drogę znajdziemy; ale jej nie znaleźli. Szli całą noc i jeszcze dzień od rana do wieczora, ale nie wydostali się z lasu i byli tak głodni, że prócz paru jagód, rosnących na ziemi, nie mieli nic do jedzenia. A że już ledwie ustać na nogach mogli, więc usiedli pod drzewem i zasnęli.

Był już trzeci dzień, jak opuścili dom swego ojca. Zaczęli znowu błądzić po lesie, ale

coraz bardziej zagłębiali się i jeśli jaka pomoc nie nadejdzie, to musieli zginąć. W południe, ujrzeni na gałązce ślicznego małego ptaszka, który tak pięknie śpiewał, że stanęli i przysłuchiwali się.

A gdy przestał śpiewać, rozpostarł skrzydełka i frunął przed nimi, a oni szli za nim, aż doszli do jakiegoś domku, na którego dachu ptaszek spoczął. Gdy podeszli bliżej, ujrzeni, że domek zbudowany był z chleba, a pokryty ciastem; okna były z jasnego cukru. „Do tego musimy się zabrać,“ rzekł Jaś „i urządzić sobie smaczny obiad. Ja zjem kawałek dachu, Małgosiu, ty możesz kawałek okna zjeść, to słodkie,“ Jaś wspinał się w górę i ułamał kawałek dachu, by skosztować, jak to smakuje, a Małgosia stanęła przy oknie i zaczęła chrupać. W tem odezwał się ze środka jakiś cienki głos:

„Ptaku, ptaszku, ptaszeczku
Co chcesz od mego domeczku?”

Dzieci odrzekły:

„Wiatr, niebieska dusza
Oknami twemi porusza!”

i jedli dalej bez przeszkody. Jaś, któremu dach doskonale smakował, ułamał z niego duży kawał i Małgosia wyjęła całą szybkę z okna i usiedli na ziemi, delektując się tymi specjałami. W tem otworzyły się drzwi i wyszła stara bardzo kobieta, podpierając się na kuli.

Jaś i Małgosia tak się urzestraszyli, że

wypuścili z rąk, to, co w nich trzymali. Stara kiwała głową i rzekła: „Aj, wy dziatki kochane, kto was tu przyprowadził? Wejdźcie tylko do mnie i pozostańcie tu, nic wam się złego nie stanie.“

Wzięła oboje za ręce i zaprowadziła do domu. Dała im mleka z ciastem, jabłek i orzechów, potem usłano dwa ładne łóżeczka, a Jasiowi i Małgosi zdawało się, że są w niebie.

Stara udawała tylko taką dobrą, bowiem była to bardzo zła czarownica, która umyślnie ten domek zbudowała z chleba i ciasta, by przywabiać dzieci. Gdy jakimś zawładnęła, zabijała je, ugotowała i zjadała, to było dla niej święto.

Czarownice mają czerwone oczy i nie mogą daleko widzieć, ale mają one za to delikatny węch, jak zwierzęta i miarkują, gdy się ludzie zbliżają. Gdy Jaś i Małgosia znaleźli się tu, rzekła szyderczo: „Mam ich, o nie wymkną mi się już.“ Raniuteńko, nim jeszcze dzieci się obudziły, ona już wstała, a widząc ich, jak zaróżowione spoczywają tak spokojnie, mruknęła do siebie: „To dopiero będzie dobry kasek.“ Wzięła potem Jasia i zniosła go do małej obory, zamknawszy go za zakratowanymi drzwiami; mógł krzyczeć, jak mu się podoba, nic mu nie pomogło. Powróciła do Małgosi i zbudziła ją i rzekła: „Wstawaj leniwecze, zanieś wody i nagotuj twojemu bratu coś dobrego, siedzi on w oborze i musi się upaść. Jak się utuczy, to go zjem.“ Małgo-

sia zaczęła płakać, ale nic nie pomogło, musiała uczynić, co zła czarownica chciała.

Gotowano więc dla Jasia najlepsze jedzenie, ale Małgosia nie dostawała nic, prócz skorupki rakowych. Każdego ranka podchodziła do obory i mówiła: „Jasiu, wysuń twoje palce, bo chcę poczuć, czyś utył.“ Ale Jaś wysunął jej kostkę, a że stara miała słabe oczy, przeto się okropnie dziwiła, że Jaś wcale ciała nie przybiera. Po upływie czterech tygodni, stara się zniecierpliwiła, że Jaś wciąż chudy i chudy i krzyknęła na Małgosię: Hola, Małgosiu, przynieś szybko wody; już dłużej czekać nie będę i Jaś, tłusty, czy chudy musi być jutro zabity i ugotowany.“

Ach, jak strasznie płakała biedna siostrzyczka, gdy musiała wodę przynieść i jak wielkie łzy spływały jej po policzkach! „Boże wielki, dopomóż nam, gdyby nas były w lesie dzikie zwierzęta pożarły, tobyśmy przynajmniej razem umarli.“ „Uspokój się,“ rzekła stara, to ci nic nie pomoże.“ Raniutko musiała Małgosia zawiesić kociołek nad ogniem. „Wpierw upieczemy ciasto,“ rzekła stara, „zagniotłam je już i podpaliłam w piecu!“ Z temi słowy, popchnęła biedną Małgosię do pieca, z którego buchały płomienie. „wejdz i zobacz, czy dobrze napalone,“ rzekła czarownica, chąc upiec biedną dziewczynkę, Ale Małgosia zmiarkowała, co stara ma na myśli i odrzekła: Niewiem, jak to uczynić, w jaki sposób się tam dostać?“ Głupia geś, wi-

dzisz przecie, iż otwór jest taki duży, że ja nawet mogłabym się tam zmieścić;" zbżyła się do otworu i wsadziła głowę. Wtedy Małgosia pchnęła ją, że się cała wsunęła i spiesznie zasunęła rygiel. Ha, jak też zaczęła wrzeszczeć, ale Małgosia uciekła i stara czarownica musiała się spalić.

Małgosia pobiegła do Jasia, otworzyła o-bórkę i zawołała: „Jasiu, jesteście uratowani, stara czarownica nie żyje!“ Jaś wyskoczył, jak ptak z klatki, gdy mu się drzwiczki otworzy. Jakże się biedne dzieci cieszyły i całowały, jak skakały z radości! A że się już niczego nie potrzebowały obawiać, więc weszły do domu czarownicy, gdzie w każdym rogu stały skrzynie z perłami i drogiemi kamieniami. „Te są jeszcze lepsze, niż krzemienie,“ rzekł Jaś i napakował w kieszenie ile się w nie zmieściło, a Małgosia powiedziała: I ja też chcę coś przynieść do domu,“ i napełniła sobie fartuszek. „A teraz musimy się czempędzej z tego lasu wydostać.“ Gdy już szli kilka godzin, znaleźli się przy wielkiej rzece. „Jak my się teraz przedostaniemy, nie widzę wcale mostu?“ „I niema nigdzie żadnego czółenka,“ odrzekła Małgosia, „ale tu płynie biała kaczka, jak ją poproszę, to nam pomoże się przeprowadzić. I zawołała:

„Zatrzymaj się kaczuszeko biała
Prosi cię Jaś i Małgosia mała
Nigdzie ni kładki, ni mostu
Przenieś nas na skrzydłach poprostu.

Kaczuska usłuchała i podpłynęła do brzegu, i przeniosła po jednym dzieci na rozpostartych skrzydełkach. Gdy się znaleźli po drugiej stronie rzeki, las wydawał im się coraz bardziej znany i nareszcie ujrzeli zdaleka dom swego ojca. Zaczęli przeto pędzić z całych sił, wpadli do izby i rzucili się ojcu na szyję.

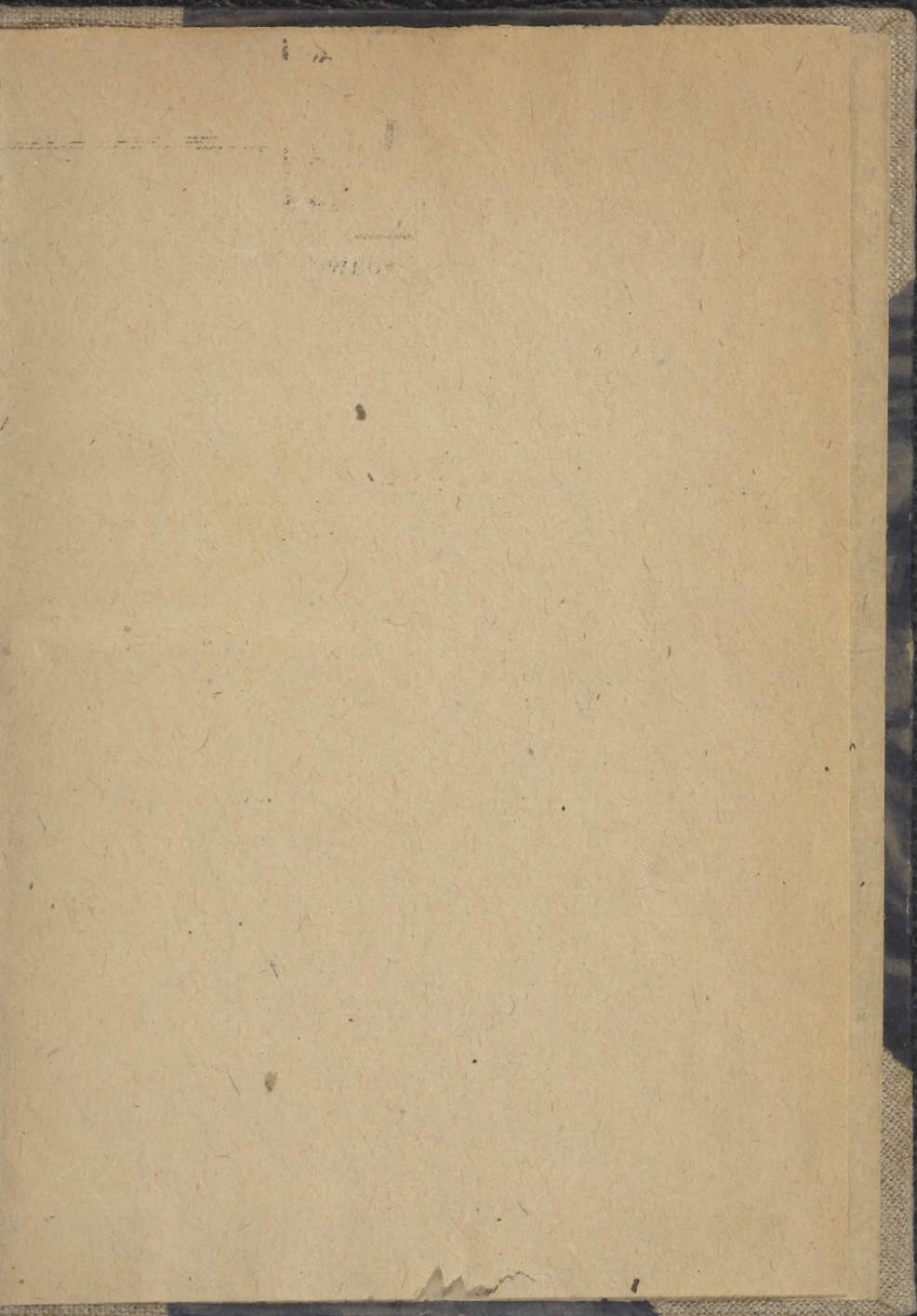
Biedny człowiek nie miał ani chwili spokoju, od czasu gdy pozostawił dzieci w lesie; a jego żona wkrótce umarła. Małgosia wytrzymała swój fartuszek, a perły i drogie kamienie potoczyły się pod nogi starego. Potem Jaś zaczął opróżniać kieszonki. I tak skończyły się cierpienia ich wszystkich. Troski o chleb już więcej nie było i odtąd żyli wszyscy w szczęściu i radości.

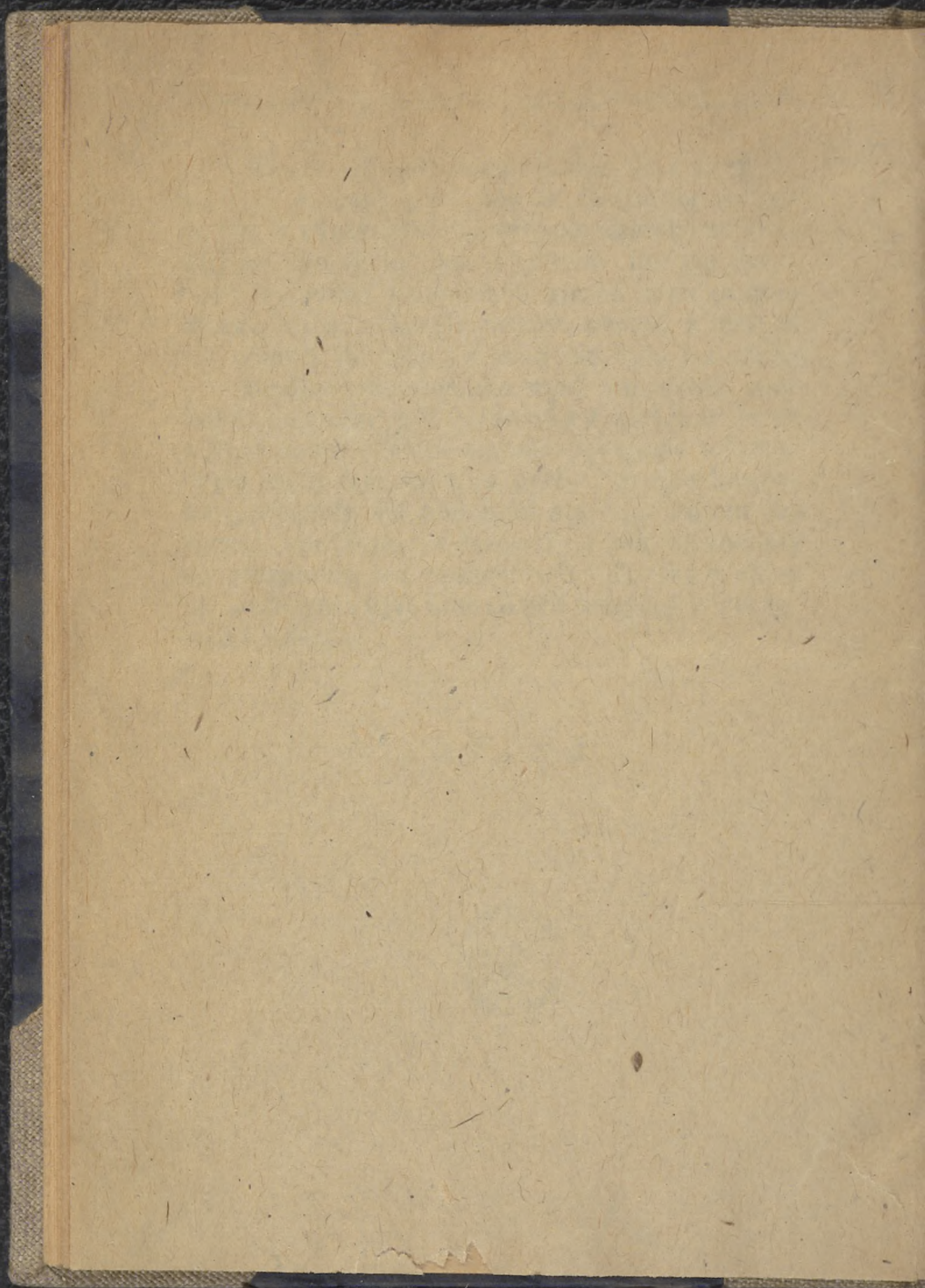
» Q N I E C.



7282/34

9 73







549439

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001007941199